NUMER ŚWIĄTECZNY W ZWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI

Zet
sztuka kultura
sprawy społeczne

ROK VI NR. 1 (112) | DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA | WARSZAWA, DNIA 1 KWIETNIA 1937 R. | CENA 50 GR.

Cynizm współczesny

O ile kryzys światowy od strony zewnętrznej i materjalnej został już nieco przestudjowany, to jego studjum wewnętrzne nie zostało jeszcze nawet zaczęte. A choć gdzieniegdzie dają się słyszeć nawet głębsze głosy, wskazujące na wewnętrzne źródła pokrzyżowania się ludzkich wysiłków i przeznaczeń, jednak są to tylko najwyższe przejściowe tony ogólnego chóru i opinji, której rzeczywisty poziom jest o wiele niższy od owych chwilowych uniesień myśli, która obawia się jednak, by w tej wyższej sferze pojęć i zagadnień nie zabłąkała się jeszcze bardziej. A tymczasem zabłąkanie jej w całkiem realnym świecie jest już tak dalece zupełne, że tylko z wyższego poziomu, a zarazem przez głębsze ujęcie rzeczy, może jeszcze myśl ludzka ostatkiem sił podjąć skuteczny wysiłek rozwiązania swoich trudności na niższych planach życia.

Ale ludzkość nie myśli przystąpić do generalnego *wewnętrznego* rachunku i studjum swej choroby, dopóki nie wyczerpały się wszystkie chirurgiczne środki leczenia ciężkich zwapnień organizmu świata, a chory czuje tu i ówdzie ulgę, choć nie wie, jakie nowe zawiązują się w nim ogniska zapalne i kiedy przyjdzie nowy, jeszcze cięższy, a może ostatni atak.

Nie ulega jednak wątpliwości nawet dla wielu „chirurgów“, że sprawa rozpoznania sytuacji świata musi być ostatecznie skierowana w całości na *wewnątrz*. I może tu przydałby się najbardziej i najlepiej pozwolił zużytkować ten wielki, nowoczesny radykalizm, który cechuje dzisiejszą epokę. Tam bowiem w głębi leżeć będą właściwe przyczyny skórnych owrzodzeń i krwawień, a prześwietlenie całego organizmu do samej głębi, da nam odpowiedź na wszystkie dręczące pytania. Albowiem w każdej kwestji prócz drugorzędnych zagadnień istnieje jedno centralne prawo i pytanie, którego uniknąć nie można przez najgorliwsze nawet studjowanie drugorzędnych, choćby pozornie najważniejszych, problemów.

Lecz ile razy *człowiek* staje nad przepaścią *swojej własnej istoty*, zawsze stara się szukać przyczyny wokół *i nazewnątrz* siebie, *zamiast szukać jej w sobie*.

I tu może leży ta najtragiczniejsza zapora, której nikt nie odważy się wyłamać całym wysiłkiem *woli*, na jaką stać *człowieka*. A chełpi on się przecież nieraz potęgą *swej myśli i woli*. Czemuż jednak nie uderzy *wewnątrz siebie?* — Czyżby tam widział lub przeczuwał największą *zaporę* i *wroga? Tak jest istotnie!* Człowiek nagromadził w sobie w ciągu wieków tyle *zakłamania*, jest dziedzicem tylu sprzeczności, które nosi w sobie i które zrosły się w nim w jakąś nierozerwalną całość, że nawet przez myśl mu nie przejdzie przypuścić, *iż niema dla niego drogi wyzwolenia innej, jak rozdarcie zupełne i rozdzielenie wewnątrz siebie prawdy i fałszu, zła i dobra, zdrowia i choroby* — w najszerszym ujęciu tych pojęć.

Niech świat próbuje różnych formuł i formułek i środków zewnętrznych, niech nawet zaprawia je wyższą treścią zapożyczoną połowicznie z wewnątrz, z głębi swej chorej duszy, — dopóki jednak nie dokona wewnątrz siebie dokładnego i bezwzględnego rozdziału *prawdy i fałszu* i gruntownego *remontu duszy*, na nic wszystkie, nawet bardzo mądre i bohaterskie zabiegi. I tu także jest miejsce na ów bezwzględny *totalizm*, który z jakąś nieprzepartą siłą narzuca się dziś ludzkości i jej historji. Ale „totalizm“ jest dziś tylko bezwzględnością metody i środków działania. Potrzeba mu jeszcze bezwzględnej trafności dróg i celów. Inaczej stać się musi totalną katastrofą. Totalizm obecnych kierunków dróg tych i celów nie posiada, chyba tylko we własnem mniemaniu.

Totalizm bezwzględnie działający musi rozporządzać *całkowitą prawdą*. Toteż totalizm taki może być tylko światowy i uniwersalny. Jego istotą musi być powszechność. Bo naczelne prawo i prawda świata jest jedna. Dzisiejsze próby „totalne“ są dopiero surowcem, wymagającym wyższej syntezy. Totalizm tylu kierunków i sprzecznych dążeń, jakie widzimy wokół siebie, jest zaprzeczeniem samego siebie i swoich własnych założeń, jest przeciwieństwem i karykaturą owego niezrodzonego jeszcze, zbawczego TOTALIZMU PRAWDY, której brak na świecie jest jego największą tragedją.

Toteż świat jest w przededniu wielkiego remontu lub równie wielkiej katastrofy.

Musi on wkońcu wybrać wśród tylu dróg i wejść na jedną jedyną drogę, TOTALNEJ DECYZJI I PRAWDY. Już dłużej nie może okłamywać samego siebie, że nie zna jej. Jest to bowiem kłamstwo najcięższe. *On prawdy znać nie chce. On jej nie szuka.* Niech wsłucha się w swoje sumienie, a ono, choć zabite, prawdę tę jeszcze mu powie. Lecz świat zbliża się do wielkiej spowiedzi. Będzie ją musiał wykonać, czy chce czy nie chce. Bo jego zbrodnie i kłamstwa łamią go już śmiertelnie. Jego klęska i bankructwo jest zupełne.

Świat stoi w przededniu swego własnego *Sądu*. Dojrzał on już zupełnie do tego wielkiego żniwa, które jest sprawdzianem i sędzią wszystkiego, do przesiana zupełnego wszelkiego ziarna i odrzucenia najgruntowniejszego wszelkiego fałszu, który duszę jego zabijał. Albowiem dusza świata też żyje; — ŻYJE PRAWDAMI. Nie zabił ich „totalny“ materjalizm, choć je tak okrutnie zmaltretował.

— OD CZEGOŻ ZACZĄĆ SIĘ MOŻE ZWROT NA LEPSZE? — Od odsłonięcia całej rzeczywistości, powiedzmy otwarciej, całej ohydy i kłamstwa współczesnego życia. Ukrywa się ona pod blichtrem wszystkich wspaniałych urządzeń, form, instytucji i „zdobyczy“ kultury współczesnej.

— Na cóż właściwie czeka ludzkość? — Czyż ma ktoś zerwać z niej maskę, odsłonić jej wewnętrzne sumienie, którego nawet nie widać pod grubym pokładem zbrodni? Zbrodni *indywidualnych i zbiorowych*. — Czy nie lepiej, aby uczyniła to sama? O ileż łatwiejsze byłoby jej oczyszczenie. A ono jest nieodzowne do ozdrowienia.

Na to się nie zanosi. Raczej wszystko inne, nawet powszechne i ostateczne zniszczenie, tylko nie głęboki, powszechny i solidny rachunek prawdy i słuszności.

Ale w tym krótkim rzucie kilku szpalt trudno nawet wspomnieć ważniejsze pozycje biernego bilansu świata, które obciążają jego sumienie, a giną w powszechnej, jakby umyślnie po to stworzonej wrzawie ideowego blichtru i kłamstwa. Bo kłamstwo nie musi być zawsze stuprocentowe. Wystarczy i dziesięć procent. PRAWDA, W KTÓREJ JEST DZIESIĘĆ PROCENT FAŁSZU, NIE JEST WOGÓLE ŻADNĄ PRAWDĄ.

Istnieje jednak w duszy ludzkiej specyficzna zwyrodniała właściwość, która wysunięta być winna na pierwszy plan. Musi ona być raczej jakiemś okrutnem zwyrodnieniem innej szlachetniejszej może dążności. Lecz dzięki schorzeniu całej kultury i natury człowieka ta głęboka i powszechna dążność twórcza została przemieniona przez dopływ złych soków na potworny wrzód, który nawet operować jest niebezpiecznie. Wrzodem tym, który godzi się postawić na czele wszystkich zabójczych sił niweczących duszę i możliwość odrodzenia człowieka, jest *cynizm współczesny*. Hierarchja złych mocy od niego się zaczyna. On stoi na jej czele.

Lecz pojęcie to musi być określone w pewien szczególny sposób a zarazem szeroko.

Jest to jakby uniwersalny kult duchowej wewnętrznej obrzydliwości, zbrodniczości i skażenia natury moralnej, który przenika *duszę współczesną*.

Polega on także na olbrzymiej rozpiętości i oddaleniu słów i czynów, na obfitości i bujności frazesów i form, a bezpłodności ich wykonania. Na zupełnem i powszechnem zwyrodnieniu wyobrażeń o najwyższych i najsłuszniejszych prawach ludzkich i kłamliwym moralizmie w najgłębszych sprawach człowieka, przy równoczesnem nadużywaniu i deprawowaniu ich przeznaczenia.

Choć główna zasada cynizmu jest jedna, rozpada on się na kilka gałęzi. Innym jest cynizm w polityce, innym w sztuce, innym w życiu towarzyskiem i prywatnem. — Cynizm jest zjawiskiem wszechświatowem i powszechnem, przenika wszystkie tkanki organizmu ludzkości. Posiada tyle dyskretnych form i stylów, od najwykwintniejszych i pełnych „artyzmu“ w górnych regjonach hierarchji społecznej, aż do prostych, ordynarnych lecz o wiele znośniejszych form wulgarnego cynizmu tłumu.

Jest jedna szczególnie bujna jego odmiana, godna szczególnej uwagi. Jest to dzidzina, którą starannie omija wszelka zawodowa krytyka i powołani sternicy społeczności. A przecież w ogrodzie współczesnym jest to najczęściej spotykana roślina, pnąca się wspaniałemi kwiatami wokół każdego klombu dzisiejszej cywilizacji. — Któraż warstwa jest od niego wolna? — Nikt nie waży się podnieść ręki lub protestu przeciw temu bezimiennemu kultowi, a najbardziej powołani stróże są niemal przychylnie neutralni lub rozbrajająco bierni. Ich najostrzejsze słowa są biernem i już stępionem narzędziem, które budzi śmiech cyników. Co się bowiem zbyt często głosi, a samemu nie wykonuje, TO WIETRZEJE. — I dlatego cynicy są wszędzie. Roi się od nich świat współczesny. Na każdej ulicy, na każdej najświetniejszej uroczystości cynizm musi być obecny. Strapiony świat potrzebuje jego ochłody i jego humoru. — Lecz co innego humor, a co innego błoto. — Cynizm jest wspierany przez wszystkich. Żywią go wielkie koncerny prasowe i najmniejsze talenciki poetyckie, a nawet u „większych“ twórców znajdujemy jego dyskretne, subtelne refleksy. Lecz twórca prawdziwy z cynizmem nie może mieć nic wspólnego. Ani na scenie i w dziełach, *ani gdzieindziej*. Jak obiegowy pieniądz i strawa codzienna toczy się strumień niewybrednych słów i często nadsłuchując ludzkiego głosu nawet z wyżyny artyzmu lub patrząc na scenę, nie wie się nigdy momentu, kiedy zamiast sztuki, wyszczerzy swe zgniłe i pożółkłe zęby — *cynizm współczesny*. — Sięga on już i do eteru. A przecież dopiero od tego poziomu, gdzie ma zastosowanie pełna zasada etyczna, zaczyna się istotna sztuka i artyzm.

Im wyżej wznosimy się po szczeblach hierarchji kulturalnej, tem doskonalsze i wykwintniejsze spotykamy wytwory tego tak powszechnego, bezkonkurencyjnego artykułu. Jest on gwarą codzienną inteligentów i prostaków i czyni szybsze podboje niż jakakolwiek myśl czysta, stanowiąc podwalinę postępu i wyzwalania człowieka z wszelkich etycznych „przesądów“. — I któż tu robi największe rekordy? — Czyż nie ta warstwa, która ma rozszerzać światło? — Czyż mrok nie dociera dziś nawet tam, gdzie na szczytach kultury, zdawałoby się, rosną tylko szlachetne ziarna. I tam rozpościera on swą gnilną woń, w tej plantacji sztucznych ideałów.

Cynizmu nie można porównać nawet z takiem zjawiskiem jak komunizm. Komunizm bowiem ma w sobie jakieś pomylone i błędne, ale w każdym razie idee. Cynizm jest bezideowym kultem błota i dlatego nie można go zwalczać żadną przeciwną ideą. Jest on jakby ideą rozwiązłości, zatrucia najgłębszych składników duszy i jej kultury, ideą ich splugawienia.—Cynizm jest zaprawą niezbędną dzisiejszej kultury i jego złamanie będzie najtrudniejsze. Jest on bowiem wszechpotężny. — Jedni popierają go czynnie, inni biernie. Lecz nie jest to wielka różnica.

Widziałem oświecicieli ludzkiego życia, którzy uczestniczyli czynnie lub biernie w tej najwstrętniejszej produkcji ducha ludzkiego. Cynizm bowiem wypowiada się również milczeniem. W oczach cynika widać jego świat deprawacji i żądzy, przelotny uśmiech i gest mówi wystarczająco wiele. Posiada tysiące odmian i odcieni, a wszystkie przepojone są jedną cechą naczelną — śmiałością. Improwizuje on zawsze i wszędzie, gdzie tylko może, wobec wszelkiego otoczenia i samym stróżom ludzkiej godności i cnoty bezczelnie śmieje się w twarz. — I ma właściwie rację. W głębi ich dusz bowiem też jest błoto. Tylko jest ono głębiej ukryte.

Głęboko przeżarta jest dzisiejsza kultura przez wiele trucizn, które podano ludzkości. Lecz tej nie dorówna żadna. — Są ludzie, których cynizm nie maleje nawet w obliczu śmierci. Czy wiecie z jakiej warstwy pochodzą? — Z tej, która przewodzi kulturze i ludzkości; w niej jest największy procent cyników. Tam bowiem jest najmniej „przesądów“. Cynik, czegokolwiek dotknie myślą lub czynem, wszystko splugawi.

Niekiedy cynik staje przed sądem. W roli oskarżyciela. Skarży o obrazę czci. — Co za budujacy widok! — Nawet motywy oddalającego wyroku mają posmak i refleks cynizmu w tej atmosferze. Ale i taki tryumf sprawiedliwości rzadko się zdarza. Rzadko bowiem cynikowi można dostarczyć dowodów wobec publicznej instancji.

Lecz nie zgubmy się w tej dżungli i gąszczu ludzkiej ohydy i błota, które dotyczą więcej spraw „prywatnych“, choć w tem pojęciu jest także za wiele kłamstwa i nadużyć. Blaga i tu za długo już góruje. — Ale gdy sól nawet już dawno zwietrzała i zaczyna cuchnąć powietrze, nie można dłużej zatykać nozdrzy. — *Powietrze jest rzeczą publiczną.* Przeciąg „kulturalnych wiatrów“ roznosi bowiem woń z najbardziej prywatnych ustępów. — W zdrowej moralności publicznej i społecznej niema rzeczy prywatnych, NIEMA, mówiąc najnowszym stylem, SOBIEPANÓW, jak niema właściwie rzeczy prywatnych wogóle. Każda bowiem jednostka jest własnością nietylko swoją ale i równocześnie publiczną. Temsamem publicznemi są wszystkie jej sprawy. A gdzie licha kanalizacja, tam najmniejszy ustęp prywatny przecieka wnet nazewnątrz i staje się sprawą publiczną. Istnieje tu fałszywa zupełnie linja podziału, wymagająca regulacji i zdrenowania. Za dużo bagien jest na świecie tuż pod pięknemi chodnikami.

NALEŻY ZAGLĄDNĄĆ GŁĘBIEJ DO DUSZY CZŁOWIEKA. Tam bowiem jest prawdziwa głębia i DNO KRYZYSU. — Jest tam beznadziejnie czarno i brudno i brud ten przecieka nazewnątrz. Z prywatnych podwórek i podwórzy spływają na drogi publiczne małe strumyki i tworzą duże strumienie, biegnące dalej.

TAK RODZI SIĘ SYSTEM MORALNY SPOŁECZEŃSTWA. Zbrodnie i fałsze, kał i brud, które produkuje mały człowiek w swoich sprawach i na własny tylko użytek, przenosi się do gmachu SPOŁECZNOŚCI ŚWIATA. Tym samym cynizmem, z jakim człowiek urządza swe prywatne podwórko moralne, zaprawia on i oddane mu sprawy publiczne, chociażby tego nawet nie chciał.

Dziedziną, w której tworzą się publiczne prawdy moralne i na ich podstawach buduje się rzeczywistość świata, JEST POLITYKA.

Nigdzie tak doniośle nie przejawiają się skutki działania indywidualnych wartości człowieka, nigdzie prawda jednostki nie rzuca tak szerokiego posiewu i nie potęguje się w swem działaniu i zasięgu, jak w tej dziedzinie. Polityka jest bowiem zbiorową działalnością i życiem masy, przejawem i wsiewem indywidualnej myśli i uczuć w czynie zbiorowym. O ileż wyższą jest więc waga wszelkiej publicznej, zbiorowej pracy od spraw prywatnych. Ale jedno wypływa nieuchronnie z drugiego, zazębia się nieodwołalnie i potęguje wzajemnie. I tu leży punkt ciężkości w budowie świata. — Światu nie brak niezłych projektów i dążeń, brak mu tylko siły spajającej myśl z czynami, ideał z rzeczywistością. Bo gdy w życiu jednostki słowa i czyny innemi idą drogami, tak samo ulegać musi temu twardemu prawu życie zbiorowe. Gdy w życiu własnem nie zdołamy pięknych myśli zamienić w czyny, to tembardziej w życiu zbiorowem rozsypują nam się na drodze piękne hasła i ideały. A rzeczywistość biegnie w jakąś nikomu nie wiadomą dal i ciemność. Kryzys, który ludzkość przeżywa nie jest kryzysem ani gospodarczym, ani ustrojowym w znaczeniu tylko materjalnem. Jest to kryzys *duszy człowieka i jej wewnętrznego stosunku do samej siebie, do swej wewnętrznej prawdy i wartości*. I kiedyś sporządzony zostanie generalny i indywidualny rachunek sumienia ludzkości i zestawiony prawdziwy bilans moralny. Bo materjalny już widzimy, choć nie jest on jeszcze ostateczny. W zmaterjalizowanej współczesnej kulturze zna się i rejestruje tylko rabunki i zbrodnie materjalne. Nikt nie rejestruje i nie wgląda w szerokie łożysko głębokich zbrodni moralnych, których codzień świat dokonuje. Ale taka już jest mądrość świata. Szatan wspiął się na szczyty nowoczesnej kultury, wziął na siebie togę i odznaki dostojeństwa, i wygłasza nawet różne piękne słowa po to, aby świat lepiej słuchał jego mądrości. — I rzeczywiście słucha.

Kryzys jest tylko ostatecznym wykwitem tej mądrości, wykwitem moralnego cynizmu w najszerszem tego słowa znaczeniu, zrealizowanego w czynach świata.

Lecz czemże mierzy się postęp prawdziwy świata i kultury jeśli nie GŁĘBIĄ ETYCZNĄ, która jest ostatecznym sprawdzianem wszystkiego zła i dobra? I któż podejmuje się zestawić dziś bilans całkowity i rzetelny ludzkości i wykazać nadwyżkę *dobra?!*

Wszelką wartość materjalną otrzymuje się przez porównanie strony czynnej i biernej. Lecz w sprawach moralnych jest inaczej. Tam pozycje bierne istnieć wogóle nie mogą, jak istnieć nie może choroba w zdrowem ciele. — A czy moralne długi świata nie są o wiele większe od jego olbrzymich długów materjalnych? — I któż je będzie spłacał?

I dlatego zbudowany z żelazo - betonu świat współczesny już nie rysuje się i pęka w swych spojeniach, ale zupełnie rozpada się. Rozluźnienie moralne w najrdzenniejszem znaczeniu tego słowa spowodowało też rozluźnienie materji. Gdy *duch zwyrodniał*, musiała zwyrodnieć i *jego powłoka. — Czy nie od wnętrza zacząć się musi przeobrażenie ludzkości?*

Totalna etyka w systemie światowym będzie pierwszym i fundamentalnym warunkiem nowego ładu międzynarodowego, a jej wprowadzenie zastąpi stal i dynamit, na którym stoi dziś pokój.

I gdy się mówi o kryzysie gospodarczym czy jakimkolwiek innym, zapomina się o jednem i nie dociera do właściwego źródła wszystkich pochodnych form kryzysu. Wyprowadzają się one i zbiegają w jednem centralnem łożysku. Jest nim głęboki kryzys moralny, kryzys hierarchji prawd świata i JEGO NACZELNEJ IDEI. Prawdy, które ze sobą się kłócą, nie są prawdami. „Po owocach ich poznacie je“.

Lecz ta moralność, którą świat musi w sobie obudzić i odnaleźć, aby nie dojść do skrajnego barbarzyństwa w treści, zamkniętej równocześnie w najbardziej nowoczesnej i kulturalnej formie, jest zgoła i zasadniczo czemś innem niż blade, za często powtarzane nazewnątrz a za często łamane w skrytości hasła moralizatorów współczesnych. Są one bowiem zbyt potulne i nieśmiałe wobec istoty i głównych źródeł zła, bo ich stan bierny przedstawia się pokaźniej od czynnego. Najwznioślejsze hasło i ideał niekowynywany, jest niczem. Gorzej, jest czemś ujemnem. — Jest bowiem kłamstwem, które demoralizuje duszę człowieka. Idee i ideały wietrzeją również.

Za zwyrodnienie *ducha*, a również i wyobrażeń o najsłuszniejszych prawach ludzkich będą odpowiadać ci, którzy tych praw się uczyli, stanowili je i wykonywali. Wyrażają się one w stosunku dzisiejszym sytych wobec głodnych, posiadających *nadmiar* wobec *potrzebujących*, a nie mogących nigdy pokryć niedoboru, mimo wysiłków, trudów i udręki. Gdy jedni, nie potrzebując, mają za wiele i jeszcze biorą lekką ręką co się da, drudzy wysilają się i trudzą, nie mogąc nigdy opędzić najistotniejszych potrzeb, o które się prosi *godność człowieka*.

I *tu jest źródło*, że siły wywrotowe wzrastają. I wzrastać będą. Ślepo bowiem prą one do rozwiązania. A gdy go niema u góry, musi być na dole. Długo trwa zmaganie się i wewnętrzna walka. Aż morze ludzkie

(Dokończenie na str. 2-giej).

Z powodu choroby red. Jerzego Brauna, odpowiedź na artykuł polemiczny ks. dr. J. Ciemniewskiego w sprawie: wrońskizm a katolicyzm — ukaże się w następnym numerze

Zamiast numerów z dn. 15.III i 1.IV b. r. wydajemy numer świąteczny w podwójnej objętości.

Redakcja.

Teatr - to autor

W broszurze Wiktora Brumera p. t. „Niedomagania polskiej teatrologji" (Warszawa 1935) spotykamy następujące spostrzeżenie: „Nie ulega wątpliwości, że teatr jest sztuką samoistną. Dramat nie jest jeszcze teatrem, dopiero wystawiony na scenie staje się nim, dzięki żywemu słowu i elementom widowiskowym. Jeżeli pominiemy okresy w życiu teatru, kiedy obywał się on bez autora dramatycznego, to zgodzimy się, że utwór dramatyczny musi być punktem wyjścia dla twórczych działań ludzi teatru, którzy nawet z t. zw. dramatu książkowego mogą wydobyć wartości teatralne i zmienić literaturę w sztukę teatru".

Podobne stanowisko jest punktem wyjścia dla rozważań większości dyskutujących nad obecną sytuacją teatralną. Dramat dla niektórych teatrologów (jak np. Hansa Hermanna, który twierdzi, że „sztuka teatralna" w węższym znaczeniu tego słowa jest dla teatru ważniejsza niż arcydzieło dramatyczne literatury światowej), albo wogóle nie istnieje albo jest elementem teatru jak np. u Edgara Crossa, który uważa że dopiero to teatrologa interesuje co łączy się z transpozycją dramatu, na widowisko. Zarówno negacja autora, jak i zepchnięcie go do roli elementu teatru, sprowadzają dyskusję w orbitę, w której najgłówniejszy czynnik zagadnienia nie jest wogóle rozważany jako przyczyna dyskutowanych zjawisk i są powodem, że nie w nim samym a w skutkach jego działalności szuka się dziś źródeł niedomagań. Fakt, że teatr obywający się kiedyś bez autora, znalazł go i jemu powierzył zorganizowanie swoich tęsknot metafizycznych, jemu jako centrum zbiorowych rozważań podporządkował się i po jego linji rozwojowej wkroczył w obecną formę — jest właśnie potwierdzeniem zdecydowanej jego supremacji nad sceną. Zanim ten słyszany i widziany dramat rozegra się pod czaszkami tysięcy widzów, święci swoją premjerę w kontemplacji poety, który w ciągu swoich doznań wyodrębnia pewien szmat dziania się i zamyka w nim najintymniejsze przeżycia zbiorowości lub swoje (jako elementu tej zbiorowości). Ten „teatr ogromny", ten „dramat poświsty jak z kazamat" Wyspiańskiego jest niczem innem jak właśnie owym teatrem pierworodnym, przyczyną skutków wykonywanych i odczuwanych przez zewnętrzność t. j. teatr wtórny i publiczność. Jeśliby szukać analogji w muzyce, to rozpatrywanie depresji teatru z punktu widzenia błędów taktycznych dyrekcji, czy niesceniczności dramatów podobne by było do zrzucenia odpowiedzialności za upadek muzyki na orkiestry i wirtuozów, czy na niewykonalność techniczną partytur. Niewątpliwie stanowiska, zarówno Brumera jak i Crossa, są słuszne tam, gdzie chodzi o definicję teatru jako formy nam najbliższej. Tracą one jednak swój sens tam, gdzie mowa o wywieraniu przez tę formę wpływu na rozwój teatru jako pewnej idei. Tutaj scena jest aparatem wykonawczym, mową, dźwiękiem, barwą, w obrębie których dojść można do pewnej doskonałości, ale które jak mniej lub bardziej piękna czcionka nie są w stanie zadecydować o zmianie wartości treści, którą mają określać. Rozwój i upadek teatru leżą daleko poza obrębem możliwości reżysera i aktora. Odnosi się wrażenie, że w polemice na temat obecnej sytuacji teatralnej popełnia się jeszcze jedną nieścisłość: Identyfikuje się mianowicie talent dramatyczny autora ze znajomością rzemiosła dramatopisarskiego. W ujęciu wyznawców tej zasady nie jest dramaturgiem ani Szekspir ani Norwid ani Słowacki ani żaden z genjalnych myślicieli, którzy dostarczyli literaturze dramatycznej szeregu arcydzieł, a jest nim n. p.... Bus - Fekete. Wokół tego zagadnienia zagęszcza się dziś walka autorów z teatrami, które nie wystawiają sztuk niescenicznych. Przypuśćmy, że uwagi Tad. Kudlińskiego i A. Bunscha, którzy brak opanowania rzemiosła dramatopisarskiego usiłują usunąć przez nawoływanie do żywszej opieki teatrów nad młodymi pisarzami, otworzą tym ludziom scenę. Czy w tym wypadku problem teatru zostanie już rozwiązany? Podporządkowawszy się postulatom teatru, autor stanie się producentem „sztuk teatralnych", które przyniosą mu korzyści finansowe ale które zepchną go znowu do roli elementu. Jeżeli, jak W. Brumer powiada, teatr posiada możność wydobywania z dramatu książkowego wartości teatralnych, należałoby od niego wymagać realizacji każdej sztuki, posiadającej wartość literacką. I to powinno być nienaruszalną zasadą, że nie autor teatrowi, a teatr autorowi winien służyć.

Od XIX w. t. j. od Meningena przez Piscatora, Stanisławskiego i in. do Schillera utrzymuje się zasada, że reżyser jest dyktatorem teatru, a teatr wyodrębnia się w osobną gałęź sztuki. Wygórowane ambicje teatru sprecyzowane w cynicznym poglądzie Hermanna są tylko dowodem, że teatr kroczy po linji najmniejszego oporu. W tym stanie rzeczy o powadze prawdziwej sztuki mowy być nie może. Urabiając w pewnym kierunku „sztukami teatralnemi" smak publiczności teatralnej, wyrządzają krzywdę już nietylko samemu autorowi ale i samej publiczności, od której odsuwa się wszelkie metafizyczne wstrząsy, jakich dostarcza tylko prawdziwa sztuka. Nie wiadomo zresztą jakby wyglądała twórczość artystyczna ludzkości, gdyby artysta liczył się z poziomem konsumentów i wymogami rzemiosła. Beethoven musiałby dla jakiegoś niewprawnego skrzypka kreślić partyturę a wieszczowie nasi nie przemówiliby nigdy ze sceny. Wbrew postulatom teatrów — tak jak treść narzuca formę, — tylko twórca rozszerza zasięg rzemiosła, wdraża do niego wykonawców i on decyduje o smaku odbiorcy.

Jeżeli uwzględnimy, że przy niewątpliwej doskonałości technicznej sceny i istnieniu wybitnych aktorów, teatr nie jest powszechną potrzebą społeczeństwa i że frekwencja publiczności rzadko zależy od poziomu artystycznego sztuki a zawsze zależy od jej inscenizacji i od jakości aktorów — dochodzimy do wniosku, że objektywny poziom teatru normuje inny jakiś czynnik.

Jest nim zapewne autor: jego postawa wobec sztuki jego siła z jaką potrafi nam narzucić własne przeżycia. Kto wie zatem, czy nie byłoby najwłaściwszem szukanie źródeł niedomagań współczesnego teatru w twórczości dramatycznej. Przedewszystkiem nalcży zadać pytanie, czy ta forma teatru, którą my dzisiaj oglądamy, jest istotnie teatrem a nie kultem wyodrębnionej z tego teatru techniki. Zawsze, ilekroć twórczość dramatyczna przeżywała okres schorzenia, ilekroć ideały estetyczne zniżały się do poziomu kuglarstwa lub szarzyzny nudnego powtarzania codzienności, ludzkość zwracała się do źródła tej najczystszej sztuki, jaką pozostanie na zawsze tragedja grecka. Zetknęciu się z nią zawdzięcza Francja swój klasycyzm teatralny, odrodzenie swoje kształtowała opera florencka w r. 1600 właśnie na niej. Gluck w Niemczech i Wyspiański u nas tam czerpali natchnienie. Tajemnicą dramatu greckiego jest najwłaściwsze i jedyne pojęcie teatru jako wyraziciela odwiecznych tęsknot człowieka do zlania się z ideałem boskim na terenie sztuki. Tragedja grecka jest odbarwionym z wszelkiej tendencji i dydaktyki rytuałem, w którym zarówno odtwórcy jak i publiczność wprowadzeni symboliką ruchów i słów w stan kontemplacji przebywają na nieosiągalnym dla życia codziennego terenie najwyższej sztuki. Ta najistotniejsza cecha teatru greckiego, jego powaga wynikająca z boskiego ujmowania zagadnień metafizycznych — stanowi siłę, w oparciu o którą dokonywano później reform teatralnych i która cechowała twórczość najwybitniejszych dramaturgów. Jako drugi przykład niech służy teatr japoński. Z teatrem japońskim związuje się u nas tradycjonalizm obrzędu religijnego, który jakoby zamyka go w pewnym statycznym punkcie rozwojowym. Istotnie to, co oglądają Europejczycy podczas gościnnych występów trup japońskich, z uwagi na specyficznie lokalny charakter tego teatru, może na podobną refleksję naprowadzić. Ale przecież nie bez znaczenia pozostaje fakt, że teatr ów od swego prototypu do dzisiejszej formy uczynił mały krok a mimo to jest funkcją tak z potrzebami Japończyka sprzęgniętą jak religja. Teatr japoński przez tyle wieków trwając nie zatracił nic ze swej atrakcyjności. Tkwi w tem zasługa buddyjskiej szkoły ezoterycznej Dzen (Dzensiu) — matki ceremonji — nakazującej w każdym przejawie życia codziennego widzieć manifestację piękna. Szkoła ta kształtowała prototyp teatru japońskiego „NO" zasadzającego się na współdziałaniu trzech pierwiastków: idei, publiczności i odtwórców, jako synonimów trójjedni: Stwórca, ziemia i człowiek (łącznik).

Zarówno w teatrze greckim jak i japońskim zasada ta powtarza się i prowadzi do wniosku, iż we współdziałaniu tych trzech pierwiastków leży tajemnica teatru. I niczem innem jak tylko zachowaniem tej zasady należy sobie wytłumaczyć klasyczność greckiej tragedji i niezniszczalność atrakcyjności teatru japońskiego. Jak dalece nierozerwalność tych pierwiastków warunkuje byt teatru świadczy fakt, że ilekroć usiłował on od zasady tej odejść, zawsze pogrążał się w depresję lub zatracał swój sens jako forma sztuki.

Jeśli mowa o teatrze polskim, to do wyjątków należą autorzy, którzy twórczość swoją oparli na takich przesłankach (trzej wieszczowie, Norwid, Wyspiański, Rostworowski). Nic też dziwnego, że wobec tak szczupłej ilości prawdziwych twórców, kryterja teatralne kształtowały się pod obcemi auspicjami lub ulegały zupełnemu spaczeniu. To co powinno być u nas regułą, wchodzi w repertuar szkolny lub okolicznościowy, a sugerowani względami finansowemi autorzy zaspokajają najniższe potrzeby życia duchowego społeczeństwa, jak od ognia stroniąc od tematów monumentalnych. Obserwujemy wyraźnie, że pozbawienie teatru pierwiastka boskiego odwróciło zasadę teatru zupełnie. Autor nie jest już pośrednikiem między prawdą artystyczną a publicznością i teatr nie jest przybytkiem sztuki, ale obydwaj są sługami kaprysów i nastrojów.

Z koniecznością oparcia teatru na stałych wartościach i wynikającej z nich powadze sztuki, łączy się sprawa problematyki. Problem jest oczywiście przedmiotem wolnego wyboru każdego twórcy. Zdarza się jednak, że zgrupowane na pewnym odcinku historycznym problemy kilku twórców łączy wspólna nuta. Każda prawdziwa twórczość, choćby była projekcją najintymniejszych doznań jednostki, musi być wyrazem tych pasji i tych ideałów jakie stoją przed społeczeństwem, z którego twórca pochodzi. Okres trzech wieszczów jest przykładem, że jeden i ten sam problem niepodległości znalazł aż kilka genjalnych wyrazów. Powojenny okres wniósł w życie kulturalne tyle komplikacji i tak zróżniczkował w obrębie społeczeństw ideały, że twórca szuka ideałów nie dalej niż w sobie lub w obrębie czystej formy. Stąd literatura nasza przedstawia obecnie szereg kryształowych strumyków, z których każdy, zapatrzony w siebie, płynie w inną stronę.

Konsolidacja problemów nie jest bynajmniej rzeczą łatwą a, jak obserwujemy na przykładach zagranicznych, nawet zgoła niebezpieczną. Przemieniła ona doskonały skądinąd teatr sowiecki w trybunę agitacyjną. Apoteozie teatru kolektywnego Kieriencewa („twórczy teatr") przeczą takie fakty jak ten np. że znani nam ze scen polskich Affinogenow, Katajew, Jewreinow i inni ustąpili miejsca repertuarowi klasycznemu. Podobnie w Niemczech zawiedli Krzysztof Kärgl, Wilhelm Matthiesen, Hans Rehbard i szereg autorów wystawianych w „Junge Bühne". Grywa się tam Goethego, Shaw'a, a nawet francuskiego Scribe'a. Przykłady te są dowodem, że zarówno pielęgnowanie talentów jak i wytwarzanie sztucznej pożywki nie dadzą należytych rezultatów, jeżeli nie pozostawi się twórczości zupełnej swobody. Stosunek Państwa Polskiego do teatrów określił Juljusz Kaden Bandrowski mówiąc na IV Kongresie Volty w Rzymie: „Polski mąż stanu uznał, że dobrze zrobi, gdy w zakresie pracy nad teatrami nie pozostanie sam a dopuści do współdziałania czynniki samorządowe, parlamentarne, publicystyczne i artystyczne"... „Mecenasem a równocześnie opiekunem najwyższym jest minister oświaty". A więc inicjatywa rządu ogranicza się do opieki i pomocy. Ponieważ zaś, pomimo tej swobody twórczej, produkcja dramatyczna nie wyszła poza małoważkość problemiki lub satyrę, mamy dowód, że zasugerowani wypaczonym smakiem publiczności autorzy nie tworzą pod kątem wymogów sztuki ale mody. A przecież bez przesady można twierdzić, że ich nastawienie i doznania decydują o smaku odbiorców. Na czasie wydaje się być pytanie, czy samorzutne zgrupowanie na pewnym odcinku sztuk poruszających palące zagadnienia doby obecnej nie wytworzyłoby prądu myślowego, któryby odbronzowił te wszystkie kryterja teatralne, które wprowadzają do sztuki zamęt i pogłębiają depresję.

Jako wniosek końcowy nasuwa się następująca refleksja: debata nad obecną sytuacją teatralną w Polsce obraca się wokół szukania półśrodków, które choćby podniosły frekwencję, nie zapewnią teatrowi należytego miejsca w zapotrzebowaniu kulturalnem społeczeństwa, ani nie umożliwią mu normalnego rozwoju. Problemy mniejszej wagi, jak stosunek teatru do autorów, kwestja rzemiosła teatralnego, czy odpowiedni dobór repertuaru rozwiążą się same przez się, jeżeli: 1) zrewiduje się pojęcie teatru jako kulturalnej funkcji społecznej, opartej na powadze prawdziwej sztuki, 2) zrewiduje się obowiązki i prawa autora jako twórcy oraz teatru jako aparatu reprodukcyjnego, 3) rozważać się będzie sprawę urabiania i pielęgnowania smaku publiczności od strony jej bezpośredniego kontaktu z autorem.

Marjan Niżyński.

Cynizm współczesny

(Dokończenie ze str. 1-szej).

wzbierze i zakryje tamy i tak już słabe, i rozerwie ostatnie spojenia.

Ale ci, co podtrzymują kolumnadę społeczności, tych obciąża zupełnie inna miara odpowiedzialności. W strukturze duchowej i kulturalnej świata odpowiedzialność i obowiązki nie są jednakowe. Jeżeli jedna cegła jest zwietrzała, nie sprowadza to jeszcze katastrofy. Ale gdy filar, na którym stoi i opiera się most dążeń ludzkich, mniejszej czy większej ludzkiej *gromady*, zaczyna się sypać lub podmyje go woda, runie wszystko pewnego dnia w przepaść wodną.

Wszelkie przyziemne ruchy powietrza odpowiadają ruchom górnych warstw. Tam są głębokie wiry i ciśnienia, które kształtują też ostatecznie ruchy warstw przyziemnych.

Współczesność przeżuwa za dużo idej i ideałów, niczego jednak nie trawi. Powstaje stąd wielkie złudzenie i blaga rozwoju, szalonego postępu, Bóg wie czego. A tymczasem jest kłamstwo i coraz większe *błoto*. Cuchnie ono oddawna z daleka, ale my mówimy, że to są sprawy prywatne. *Tak jednak nie jest! — Są to sprawy najbardziej publiczne i tę prawdę trzeba postawić na porządku nowego dnia.*

Te długie dyskusje i piękne gadania już wszystkim się sprzykrzyły, z wyjątkiem samych autorów. — Więc kończcież je, zanim wszystko wyleci w powietrze. Od waszych pokojowych mów i ich nadmiaru, od tego długiego leczenia, świat jest już podwójnie chory. Bo cierpi nietylko na liczne choroby, ale i na nadmiar lekarstw i *lekarzy*. I któż mu zdrowie odebrał? Czy nie lekarze?

Ale po tylu komediach, które tak doskonale i poważnie, tylko już nieco za długo odgrywają mężowie stanu, przyjść musi prawdziwa tragedja, jako jej logiczny, jedynie możliwy wynik. Bo jednego tylko nie można odmówić dyplomatom i mężom stanu — konsekwencji w kłamaniu. A kłamstwo chcąc się ratować, musi się uciekać do jeszcze większego kłamstwa. Ale ta konsekwencja będzie też miała grube konsekwencje.

Nie zawsze start nawet dobry kończy się dobrem lądowaniem.

Światu potrzeba pełnej prawdy. Ona to jest tą wielką ideą poszukiwaną przez współczesność. *Lecz jej rdzeń stanowi etyka. Totalizm zasad etycznych leży u podstaw rzeczywistości świata* i żadna dziedzina czy jednostka nie uniknie kryzysu i załamania wcześniej czy później bez jego granitowych, a światu jeszcze nieznanych dobrze, podstaw.

Totalizm moralny, jego niezbędność i konieczność, nie da się niczem zastąpić, nawet genjalnością. Albowiem genjusz dopiero w zgodzie z etyką tworzy rzeczy wiekopomne i nieprzeżyte. Tylko etyka, ta nie może być ani *zwietrzała*, ani zblazowana.

Nowy świat oprzeć się musi na totalnej, głębokiej etyce.

Trzymając sztylet w prawej ręce a gałąź oliwną w lewej, mając usta pełne kłamliwych haseł, a sumienie zakryte pokładami brudu i minionych oraz przyszłych zbrodni, znieczulona już całkowicie na prawdę, chwieje się ludzkość na nogach i posuwa istotnie „żelaznym krokiem" w zupełną, nieprzeniknioną ciemność. Zbliża się też do kresu swoich szaleńczych rozwiązań.

Jak długo utrzyma się jeszcze na tej gołoledzi pojęć i poczynań, lepiej nie zgadywać.

Ale świat jest nietylko wyścigiem brutalnych sił, krwi i żelaza, nietylko wyścigiem technicznym pracy, ale i przedewszystkiem *wyścigiem i wzrostem idei i zmaganiem sił ducha.*

I zarówno indywidualne jak światowe sprawy ludzkie *będą oczyszczone, a robactwo i błoto z dusz ludzkich będzie wyrzucone.*

Duch bowiem wstanie z martwych.

Ukamienował go i przywalił głazem cynizm duszy ludzkiej. I on pierwszy stanie przed *jego sądem.*

Lecz nietylko *żaden człowiek* wobec spraw narodu, a żaden naród wobec świata, *ale i świat i naród i człowiek wobec prawdy, — nie może być „sobiepanem". Bo świat* jest *jedną, organiczną i solidarną całością,* związaną głębokiemi wewnętrznemi prawami. Więc rządzić nim *musi* albo *totalna i najwyższa prawda albo totalne kłamstwo.* Dróg pośrednich *niema.*

Cechą nowoczesności jest dążenie do rozszerzenia jak największego ludzkiej *swobody.* Jest to dążenie słuszne. *Tylko formy tej swobody muszą* być z trudem wypracowane w *głębi ducha.* Wolność bowiem i *swoboda* musi być *twórcza i widząca głębokie cele i ewolucję wewnętrzną wszechświata.* Rozszerzenia tej *swobody dokona nie cynizm, ale prawda i głęboki trud wewnętrzny człowieka.* Człowiek zdobywa *twórczą* wolność tylko w miarę zdobywania i rozszerzania w *sobie doskonałości i prawdy. — Czem ona jest?* — Odpowiedź *każdy nosi w sobie.*

Prawda jest światłem wewnętrznem. Kto tego światła w *sobie* nie wznieci, ten *zabłądzi i zginie w mrokach.*

Ale prawda jest nietylko widzącym wysiłkiem umysłu i woli, ale syntetycznym, głębokim trudem *ducha,* wysiłkiem i wytworem wszystkich wewnętrznych mocy człowieka.

Zło, które tyle istnień złamało i shańbiło, wkońcu *załamie się samo* od własnej *wewnętrznej anarchji* i przewrotności. I *skończy* tragiczną, samobójczą śmiercią.

Wtedy prawda w duszy ludzkiej, zabijana tak wytrwale przez tysiąclecia — *zmartwychwstanie.*

— — — — — — —

Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

W. F.

Wrońskiana

Francja.

F. Warrain „Espace et Géométries". — Institut général psychologique. Paris, 1937. Str. 197.

Praca ta znakomitego ucznia Hoene-Wrońskiego i gorliwego propagatora jego doktryny jest niejako zamknięciem pracy poprzedniej z r. 1907 p. t. „L'espace", będącej pierwszą próbą zastosowania odkrytego przez Hoene - Wrońskiego Prawa Stworzenia do kształtowania tworów geometrycznych i wymieniającej już w pierwszym wierszu nazwisko Hoene - Wrońskiego, jako tego, który w swym schemacie rzeczywistości dał określenie życia w najogólniejszej koncepcji, zaś później, w toku wykładu, jako tego, którego doktryna była dla autora jakby latarnią morską, wskazującą prawdziwy kierunek śród mroków poszukiwania prapoczątku rozmaitych geometryj. Teraz F. Warrain, uwzględniając najnowsze dociekania matematyków i logistów a jednocześnie przypominając doniosłość rozważań Hoene - Wrońskiego, dotyczących pojęcia nieskończoności w matematyce oraz składników rzeczywistości (byt i wiedza), które posiadają decydujące znaczenie w sporze realistów z idealistami, przychodzi ostatecznie do wniosku, że prawa geometrji i algorytmji wykazują, że przestrzeń i czas warunkują możliwość figur, i jeżeli otwierają dostęp nieskończoności, to te nieskończoności nie są nieokreślone, lecz wynikają z pewnych praw. Tym sposobem podstawy tych warunków nie są rzędu czysto logicznego, lecz raczej ontologicznego, t. zn. przy wytwarzaniu przestrzeni i czasów nie jest dostatecznym unikanie sprzeczności, lecz przestrzeń i czas gruntują się na zasadzie racji wystarczającej, która w odniesieniu do nich, sprowadza się do ustosunkowania indywidualności do powszechności. — W przeciwieństwie do koncepcji przestrzeni nie - euklidesowych autor obstaje przy jednej przestrzeni, nieodzownie posiadającej cechę euklidesową, twierdzę, że przestrzenie abstrakcyjne zradza analityczne rozłączenie cech, których związek ontologiczny ustanawia przestrzeń czystą.

Niemcy.

K. Jankowski „Hydrodynamische Grundlagen der Kosmogonie", Astronomische Nachrichten, marzec 1937.

Na wstępie pracy autor oświadcza, że w pracy swej z r. 1936 p. t. „Tension des masses de la Terre" założył podwaliny pod hydromechanikę niebios, umożliwiając podejście do problematu powstawania kosmicznych dróg i ich trwałości, w niniejszej zaś pracy zamierza poddać rozważaniu zasadnicze założenia nowej mechaniki niebios w oparciu o hydromechaniczne podstawy. Podstawy te dają możność, wychodząc z jednej jedynej zasady, wyprowadzić prawa Keplera i Newtona, jako osobliwe wypadki hydrodynamiczne. W toku swych rozważań autor stwierdza prawdziwość podanych przez Hoene - Wrońskiego: prawa najwyższej mechaniki i pierwszego prawa systematycznego mechaniki niebios. Przy sposobności przypominamy, że autor w pracy swej z r. 1935 p. t. „Problemat Hoene-Wrońskiego o statycznej równowadze cieczy" (streszczonej w pięciu językach) dowiódł prawdziwości hydromechanicznych równań Hoene-Wrońskiego. Praca K. Jankowskiego, bogata treścią i torująca nowe drogi w dziedzinie mechaniki niebios, winna pociągnąć uwagę astronomów; oby też i polskich!

Ameryka Połud.

W Nr. 417 „Revista de Ciencias (Lima, 1936) znajduje się rozprawa *P. P. Demiańczuka* p. t. *„Nueva demonstracion del Teorema de Clairaut efectuado por medio del Calculo de Probabilidades"* („Nowy dowód twierdzenia Clairauta, oparty na rachunku prawdopodobieństwa"), gdzie autor podaje oryginalny i b. prosty dowód słynnego twierdzenia Clairauta, uważanego za jedyne źródło naszych sądów o kształcie ziemi. Natchnienie do tego pięknego dowodu autor zaczerpnął z rozważań Hoene - Wrońskiego, który dał jeszcze prostszy, arytmologiczny czy logistyczny, dowód tego twierdzenia. (Ob. artykuł P. Chomicza: „O twierdzeniu Clairauta" w „Przeglądzie Mierniczym" 1929 r.). Jednakość punktów wyjścia autora i Hoene - Wrońskiego pochodzi stąd, że granice prawdopodobieństwa (0 i 1) są też w logice granicami treści (i zakresu) pojęć; podane przez Hoene - Wrońskiego i Demiańczuka dowody tego twierdzenia, zazwyczaj wyprowadzanego w sposób b. zawiły w podręcznikach mechaniki i geodezji wyższej, winny stać się dla logistyków klasycznym przykładem tej korelacji.

Polska.

P. P. Demiańczuk „Südliche Abweichung beim freien Fall", Warszawa, 1937 (Prace Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego).

Autor na podstawie dzieła Hoene-Wrońskiego „Nouvelle Ballistique ou Théorie générale d'après les nouvelles lois de Mécanique Céleste" (pozostającego dotychczas w rękopisie) samodzielnie opracował zagadnienie południowego odchylenia ciał spadających na ziemię, to zagadnienie, którym zajmowali się też Gauss i Laplace. Ostateczny wynik, otrzymany przez Hoene-Wrońskiego, jest o 4½ razy większy od wyniku wspomnianych matematyków. Przy końcu rozprawy autor zapowiada pracę o figurze ziemi według teorji Hoene-Wrońskiego.

Hoene - Wroński „Filozofja Matematyki". — Przetłumaczył, przedmową i komentarzami opatrzył P. Chomicz. Str. 300.

Dzieło to oddawna oczekiwane w Polsce, a wydane nakładem Instytutu wydawniczego „Bibljoteka Polska" w najbliższych dniach ukaże się na półkach księgarskich.

Z okazji odsłonięcia w dn. 3 lutego r. b. pomnika Hoene - Wrońskiego w Neuilly, w czasopismach ukazały się liczne wzmianki i artykuły o Hoene - Wrońskim; spośród nich wyróżnia się artykuł pióra H. W. w „Kurjerze Poznańskim" z dn. 28 lutego, napisany z żywą sympatją dla twórcy filozofji absolutnej i wykazujący znajomość szczegółową biografji naszego filozofa, rozumem pogrążonego w dociekaniach absolutu, a sercem tęskniącego za swą ojczyzną i z trwogą wpatrującego się w jej przyszłość.

Sprostowanie

W art. „Przyszedł djabeł i nasiał kąkolu"... nazwałem Papusa i Eliphasa Lévi okultystami „francusko - żydowskimi". W związku z tem otrzymałem list prostujący, że okultyści ci — n. b. przyznający się do chrześcijaństwa — nie byli Żydami, lecz rodowitymi Francuzami. Po sprawdzeniu tej informacji poczuwam się do obowiązku stwierdzenia, że istotnie pisarze - okultyści, Gerard Encausse i A. Z. Constant, używający pseudonimów: Papus i Eliphas Lévi, nie byli pochodzenia żydowskiego.

Co do zarzutu mego, że Papus przemilczał to, co Wroński pisze w „Apodyktyce" o mistykach i związkach tajnych, zaznaczam, że Papus zamieszcza istotnie ustęp o mistycyzmie, obejmujący str. 230 do 256 tego dzieła (stwierdzając przytem pewne różnice w punktach widzenia), nie podaje natomiast — o ile mi wiadomo — tego, co Wroński pisze o mistycyzmie i złej zasadzie, w temże dziele, w ustępie o demonologji (str. 189 — 199), oraz w ustępie o złej zasadzie (str. 203 — 214). *J. Braun.*

Konfiskata „Zetu"

Od Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę, otrzymaliśmy następujące pismo (nr. SW. I-2/198/37):

Do
Pana Redaktora J. Brauna
w/m. ul. Wierzbowa 8.

Upatrując w art. p. t. „Deklaracja płk. Koca", zamieszczonym w czasopiśmie „Zet" z dnia 1.III.1937 r. Nr. 19 cechy przestępstwa przewidzianego w art. 170 K. K. — na zasadzie art. 27 dekretu z dnia 7.II. 1919 r. w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 r. Nr. 14, poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 9.III. 1937 r. wyżej wymienione czasopismo przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie.

Za Komisarza Rządu
(—) *Jerzy Jędrzejewicz.* Referendarz.

Problemy estetyki czystej

Nie istnieje dotąd żaden pomost między dotychczasowemi, prowizorycznemi i hypotetycznemi teorjami sztuki, a estetyką absolutną Hoene-Wrońskiego. Wroński w swej filozofji sztuki, zawartej w „Apodyktyce" i „Nomotetyce" przechodzi odrazu do najwyższego piętra zagadnienia, wykreślając strukturę achrematyczną aktu stwórczego, oraz jego implikacje: elementy i narzędzia absolutne Sztuki Czystej. Detalami procesu twórczego, jaki zachodzi w czasie powstawania dzieła sztuki w indywidualnej, partykularnej świadomości podmiotu tworzącego, Wroński zajmuje się bardzo pobieżnie. Tymczasem to jest właśnie ten etap, do jakiego docierać zaczyna estetyka współczesna, w dążeniu do określenia właściwego przedmiotu swej dyscypliny. Teorje ostatnich dziesięcioleci zajmują się wprawdzie przebiegiem procesu twórczego tylko w aspekcie psychologji twórczości (Ribot, Hartmann, Paulhan, i t. d.), a więc metodą a posteriori, podczas gdy idzie tutaj o wykrycie warunków apriorycznych kreacji artystycznej, jednakże dostrzegają oni coraz jaśniej, że ani analiza psychologiczna doznania estetycznego, ani też analiza formalna czy genetyczna gotowego dzieła, nie dociera do rdzenia specyficznej problematyki twórczości artystycznej, w której należy szukać rozwiązania zagadek piękna i sztuki. W ten sposób krystalizuje się nowy pogląd na zadanie i przedmiot estetyki, pogląd oddzielony wyraźną linją demarkacyjną od badań poprzednich. Nie można wytłumaczyć faktów estetycznych bez wytłumaczenia samej istoty *tworzenia*. Wszystko jedno, czy odnosić będziemy akt narodzin koncepcji artystycznej do pracy spontanicznej *podświadomości*, czy do świadomego procesu konstruktywno-produktywnego, — zawsze musimy przyjąć istnienie i działanie w nas jakiejś siły *twórczej* w sensie dosłownym tego terminu, siły, której charakter i przejawy w nas musimy wytłomaczyć, jeżeli sztuka nie ma pozostać fenomenem całkowicie irracjonalnym i niezgłębialnym. Wroński wyjaśnia bez reszty ten problemat w swej doktrynie rozumu stwórczego (raison créatrice), gdzie rozum uważany jest jako władza stwórcza *warunków*, zaś metodą dorównaną jego autodeterminacji jest t. zw. Prawo Stworzenia. Istnieje jednak, jak już wspomniałem na wstępie, ogromna luka spekulatywna między tem stanowiskiem racjonalizmu kreacjonistycznego, a najśmielszymi nawet współczesnymi teorjami estetyki, zajmującymi się analizą transcendentalną i metafizyką procesu twórczego.

Aby zapełnić tę lukę, zbudowałem system przejściowy *estetyki czystej*, w której próbuję wyjaśnić szczegółowo źródła i charakter dynamiki procesu twórczego, zapomocą analizy struktur świadomości, uwikłanych w ten proces, oraz sił konstrukcyjno-produkcyjnych, jakie powstają spontanicznie ze samej gry tych struktur, zdefinjowanych przezemnie jako: akt poznawania estetycznego, akt woli estetycznej i akt wartościującej samooceny, czyli uczucia estetycznego. Pierwszą część dzieła, eksplikującego ten system estetyki, drukowałem w „Zecie" p. t. „Krytyka rozumu twórczego".

Aby wyjaśnić per analogiam fundamenty konstrukcji tego systemu, nawiążę do teorji struktury psychicznej Dilthey'a, zaznaczając jednakowoż, że teorja ta stająca na stanowisku psychologji twórczości, nie wpłynęła w niczem na genezę mojej koncepcji zapłodnionej bezpośrednio przez estetykę absolutną Hoene-Wrońskiego.

Teorja struktury psychicznej Dilthey'a pobudowuje w postaci dynamicznej ten sam układ trzech organów podmiotu apercepcji, który wykrył i usystematyzował, — w aspekcie sztywnie statycznym — Kant w swej trójstopniowej strukturze, na którą składały się: rozum teoretyczny, rozum praktyczny i rozum teleologiczny. Trzy te potęgi, przez które wiedza subjektywna uczestniczy współtwórczo w powstawaniu rzeczywistości, są niejako narzędziem, przez które nagi metafizyczny podmiot, pozbawiony wszelkiego orzeczenia w sferze immanencji, a oddzielony przepaścią od niepoznawalnej istoty rzeczy, *uprzedmiotowia sam siebie*. Czego nie dostrzegł Kant, to właśnie dynamicznej mocowładności tej struktury, *siły twórczej*, jaka powstaje z puszczenia w ruch ich gry wzajemnej, siły, przez którą podmiot nasz transcendentny — pozbawiony dorównanego istnienia — nadaje sobie byt lub raczej przezwycięża swój niebyt (tyle u Dilthey'a).

Czynność skoordynowana tych trzech organów pobudowuje formę artystyczną, t. j. wytwarza przedmiot metafizyczny, symbol tego wewnętrznego wysiłku ducha ku ujęciu i wyrażeniu samego siebie. Oto tajemnica powstawania form, które zresztą przez swą skończoność, gotowość i konieczność, ukazują zaraz po dokonaniu swą rdzenną sprzeczność z właściwą, infinitystyczną, wolną i bezokreślną istotą podmiotu czystego. Tu pobudka ciągłego odnawiania wysiłku twórczego, źródło owego nienasycenia formą, o którem mówi S. I. Witkiewicz w swej estetyce.

Zdaniem mojem, proste zastosowanie schellingjańskiej idei tożsamości bytu i wiedzy do kantowskiej problematyki transcendentalnego podmiotu apercepcji, wystarcza do założenia fundamentów estetyki czystej.

Teza fundamentalna Kanta: istnieje podmiot czysty, nie posiadający żadnego orzeczenia ani w świecie przedmiotowym ani w kategorjach rozsądku i ideach transcendentnych rozumu, — ciąży nadal nad całym rozwojem metafizyki i powraca wciąż jako dręczący problemat. Rozwiązanie tego problemu w doktrynie Wrońskiego brzmi następująco: Podmiot czysty istnieje tylko wówczas gdy *tworzy;* jednakowoż ta jego natura twórcza jest spontaniczna, i napozór całkowicie nieinteligibilna. Podmiot nie wie, że tworzenie jest jego „tajemnicą istnienia", sposobem jego utrzymania się w bycie. W rdzeniu naszej osobowości współżyje zatem obok siebie podmiot czysty, czyli samorzutny akt apercepcji, oraz niewiedza absolutna celu i sposobu swego istnienia. Powstaje stąd wstrząs biologiczny i myślny, wywołujący dążność permanentną do przezwyciężenia tej fatalnej heterogeniczności, dwu zasad naszej rzeczywistości subjekt-objektywnej: „ducha" i „materji", wolności i natury, wiedzy i bytu. Trzy są rodzaje najbardziej typowe tej dążności: filozofja, religja i sztuka, przyczem ta trzecia zdaje się być fenomenem szczególnie trudnym do wyjaśnienia, najdosłowniej irracjonalnym.

Wrońskizm, doktryna racjonalizmu kreacjonistycznego, odrzuca zarówno tezę o irracjonalności sztuki, jak i uroszczenia metafizyki tradycyjnej do zapełniania przepaści między dwu heterogenicznemi składnikami osobowości przez sztuczne i nigdy niesprawdzalne konstrukcje metafizyczne. Odpowiedzią jaźni artysty na problemat niedościgłej jedni osobowości (owej schellingjańskiej tożsamości bytu i wiedzy) jest *tworzenie*. I nie co innego, jak właśnie tworzenie jest ową poszukiwaną przedmiotowością absolutną, owem transcendentalnem „orzeczeniem" kantowskiego czystego podmiotu, którego brak jest najgłębszym pan-tragicznym impulsem sztuki.

Zdawałoby się, że jest to tylko uchylenie się od trudności, bo cała niemal „via moderna" metafizyki (z Bergsonem na czele) uważa twórczość za zjawisko nawskroś irracjonalne, choćby przez swą dynamiczną płynność i niespodzianość, nie dającą się ująć w pojęcia sztywne, ani też zakuć w łańcuch związku przyczynowego. Wroński jednakowoż uważa *twórczość* za najbardziej adekwatny przejaw rozumu, więcej jeszcze: za rdzenny tryb istnienia i działania rozumu, wymykający się dotąd determinacjom spekulatywnym jedynie dlatego, że oglądanie i ujmowanie samego siebie jest niewątpliwie dla podmiotu najtrudniejszem zadaniem. Gdy podmiot usiłuje sięgnąć ku warunkom swego własnego istnienia, staje zrazu w obliczu jakiejś niewyraźnej mgławicy funkcyj, procesów, dążności, aktów intencjonalnych, napozór niemożliwych do poznawczego prześwietlenia. Z mgławicy tej można jednak z trudnością wyłuskać dwa podstawowe określenia: 1) jako forma, czyli jaźń pojedyńcza, ustawiona w centrum rzeczywistości, wnosimy koniecznie do chaosu zjawisk jedność w wielości (v. estetyka Lippsa, zasady koordynacji i podporządkowania), zmierzając zawsze i wszędzie do potwierdzenia natury swej własnej podmiotowości, przez konstruowanie celowo uorganizowanych całokształtów zamkniętych; 2) jako treść, wymykamy się zawsze poza te formy skończone, nosimy bowiem w sobie problemat ujęcia się jako przedmiot (= podmiot uprzedmiotowany), który-to problemat nie może być nigdy rozwiązany nazewnątrz nas, w świecie *danych*, lecz tylko wewnątrz, przez stworzenie się w postaci dorównanej owemu nienasyconemu dążeniu. Otóż sztuka jest to funkcja nadrzędna, harmonizująca problem formalny jedności w wielości i problem essencjalny ujęcia się jako przedmiot w specyficznej czynności, będącej procesem twórczym in stricto sensu.

Ostatecznie tedy zagadnienie redukuje się do kwestji istoty metafizycznej i struktury dynamicznej procesu twórczego, który byłby właściwym przedmiotem estetyki czystej. Dla ścisłości zaznaczam, że nie idzie tu o psychologję przebiegu twórczego, przez wielu badaczy uprawianą (np. Ribot, Hartmann), gdyż metoda ta, zdaniem mojem, nie prowadzi do celu (podmiot czysty nie jest *bytem danym* dostępnym poznaniu eksperymentalnemu), lecz o filozofję twórczości, w dosłownem znaczeniu tego terminu, uprawianą przy pomocy metody subjektywno-genetycznej, różniącej się n. b. essencjalnie od metod objektywno - genetycznych, któremi posługiwały się niektóre nowoczesne teorje estetyki.

Wyniki zastosowania tej metody są następujące:

Podmiot czysty istnieje tylko wówczas gdy tworzy. Podmiot czysty jest tedy potencjalnością tworzenia, aktualizującą się w procesie artystyczno-konstrukcyjnym. Naturą podmiotu potencjalnego jest dążność do ujęcia się w swej przedmiotowości, czyli w tworzeniu. Sztuka jest to zdolność podmiotu do technicznego zawładnięcia tą dążnością i przeobrażenia jej w samorzutną czynność konstrukcyjną.

Z tak pojętej sztuki da się wydzielić przez analizę genetyczną dwa elementy zasadnicze: akt bezpośredni samowytworzenia się podmiotu, oraz formalne upostaciowanie tego aktu w dziele tworzonem, przyczem pamiętać trzeba, że — jak słusznie stwierdza Croce — „dzieło sztuki jest zawsze wewnętrzne", t. zn., że właściwem *dziełem tworzonem* jest nie objekt zewnętrzny (rzeźba, obraz, poemat), lecz sam proces twórczy, będący formalnem upostaciowaniem aktu podmiotowego. Wroński oznacza te dwa elementy zasadnicze terminami: rozum twórczy i dzieło tworzone.

Z kolei trzeba wykryć skład i strukturę władz i narzędzi, zaangażowanych w *tworzeniu*. Tu przychodzi nam w pomoc kantowska analiza czystego rozumu; podmiot czysty rozszczepia się na trzy władze naczelne: rozum teoretyczny, rozum praktyczny i rozum teleologiczny. W tworzeniu artystycznem władze te uczestniczą jako: 1) akt poznania estetycznego, 2) akt woli estetycznej, 3) akt sądu estetycznego. Pierwszy wprowadza jednię podmiotową do wielości przedmiotowej elementów tworzonego dzieła, drugi wytwarza autodeterminacje podmiotu tworzącego, oraz impuls do ich formalnego upostaciowania, trzeci wreszcie dokonuje absolutnej samooceny rozwijającego się procesu twórczego. Rzecz oczywista, że trzy te władze dadzą się zróżnicować przy pomocy analizy genetycznej, na szereg organów i narzędzi pochodnych. Czynność formalno-konstrukcyjna aktu poznania estetycznego, rozpatrywana sama w sobie, jako tworzenie, ustanawia system odrębny, którego istocie odpowiada najadekwatniej pojęcie Formy Czystej. Czynność wartościotwórcza aktu woli estetycznej polega na tem, że podmiot odrywa się od każdej osiągniętej już formy tworzonego dzieła i ustanawia się ponad niem w funkcji nowego celu estetycznego: oznaczam ją pojęciem Treści Czystej. Wreszcie czynność sądu estetycznego, polegająca na ocenie celowości objektywnej (ze względu na ideał jedności w wielości) i celowości subjektywnej (ze względu na ideał ujęcia się jako przedmiot) tworzonego dzieła, wytycza kierunek procesu twórczego a totali, ze względu na absolutną teleologję tworzenia. Czynność ta ujawnia się na zewnątrz jako antynomja estetyczna, której teza (:ideał piękna jest dopełniony) i antyteza (: ideał piękna jest niedościgły), pozostające w opozycji wzajemnej, wyprowadzają podmiot tworzący poza obręb procesu, w którym jest pogrążony.

Wzajemne ustosunkowanie dynamiczne Formy Czystej i Treści Czystej, pobudowuje specyficzne continuum generacji ciągłej, czyli proces twórczy in stricto sensu. Jest to uporządkowane następstwo aktów samostwórczych podmiotu i procesów przedmiotowego postaciowania. Odbywa się to w sposób następujący: najpierw podmiot ustanawia się, jako swój własny problemat estetyczny, następnie podejmuje on czynność konstrukcyjną, która ma dać ekspresję objektywną tego stanu podmiotowego. Powstaje stąd forma, dająca możność porównania wyrazu z tem, co miało być wyrażone. Wówczas podmiot, naskutek swej heterogeniczności, odróżnia się od formy stworzonej, która przez swą zamkniętość, bezwładność i skończoność jest rdzennie sprzeczna z samorzutnością i nieskończonością naszej dążności subjektywnej. Powtarza się, na wyższej platformie, proces poprzedni. Sprawa ta ponawia się wciąż, dzięki temu, że ponad grą wzajemną Formy i Treści czystej, utrzymuje się zawsze rozum twórczy sam w sobie i dzieło tworzone samo w sobie, jako dwie wielkości przestępne, nie dające się zamknąć w żadnych granicach określonych.

Aby wykroczyć w jakiś sposób poza tę dynamikę samozapładniającego się procesu twórczego, trzeba zkolei określić i ująć, w jednym schemacie spekulatywnym całokształt jego warunków. Tak ujęty od zewnątrz, proces twórczy, manifestuje się jako czysty *akt stworzenia*, układ elementów funkcyjnych, wystarczających do wyłaniania *siły* od wewnątrz, bez jakiejkolwiek pobudki i pomocy zzewnątrz. Wyświetlenie istoty tej potęgi genetycznej, rozwiązuje w zasadzie zagadkę genjuszu, którego twórczość artystyczna jest czystą *autotelją czynności* (= czynność skierowana na samą swą czynność), w której podmiot tworzący kieruje się wyłącznie ku samemu sobie, *organizując przedewszystkiem tworzywo wewnętrzne, czyli autonomiczne wyobrażenie czasu i przestrzeni (exemplum: kompozycja artystyczna)*.

Podstawowym elementem sztuki, jako czynności autotelicznej, jest wynalazczość celów i środków tworzenia, zaś jej elementem finalnym jest *dokonanie* (exécution). Dokonanie, koronujące proces tworzenia dzieła, jest zamknięciem definitywnem funkcji w istocie swej nieskończonej, musi więc być zdeterminowane przez miarę wewnętrzną aktu stwórczego. Do określenia teoretycznego tej miary służy system kategoryj estetycznych.

Problematem najwyższym sztuki jest ideał piękna absolutnego, zlewający się w jedno z ideałem religji i filozofji, jako dyscyplin wiodących w równej mierze do *samostworzenia*.

Jerzy Braun.

Pokłosie

wyjęte z „Apodyktyki" Wrońskiego *)

Śmieszność

Uczucie śmieszności powstaje wówczas, gdy gra wyobraźni zostaje nagle zaskoczona przez rozsądek.

Grzech i niewinność

Zło nie może ustanowić jakiejś funkcji, która by je czyniła pod pewnymi względami porównalnym z Dobrem, inaczej, niż przez rodzaj własnego uznania swojej niegodności; i w tej to właśnie funkcji Zło ustanawia *grzech*.

Podobnież Dobro nie może ustanowić jakiejś funkcji, która by, przynajmniej pod pewnymi względami, czyniła je porównalnym ze Złem, inaczej niż przez rodzaj nieświadomości Zła; i ta oto właśnie funkcja ustanawia *niewinność*.

Duch i nicość

Autogenia (Duch), czyli życie absolutne, istniejące przez się, niezależnie od wszelkiej przyczyny czy wpływu zewnętrznego, który by mógł je zniszczyć lub chociażby zmienić — oto wielki wzniosły cel stworzenia.

Nicość, która już sama postuluje tę autogenię czyli życie absolutne, i którą można pojąć tylko przez przeciwstawienie tej autogenii —oto wtóry składnik podstawowy tego dobroczynnego stworzenia.

Obecność faktyczna tych dwu składników Wszechświata, chociażby nawet w stanie niedoskonałym, dowodzi już niezbicie istnienia jakiejś Inteligencji najwyższej, bez której nie dałoby się ich w ogóle pojąć.

Owóż rozwój fizyczny kuli ziemskiej, i wszystkich ciał niebieskich wogóle, aż do wytworzenia ostatniego ich owocu: człowieka czyli istoty rozumnej, to nic innego, jeno takie stwarzanie dobroczynne i ciągłe, ażeby ziścić, w tej istocie rozumnej, równowagę owych dwu wielkich składników Wszechświata: nicości i Autogenii (Ducha).

Tutaj, w człowieku, realizuje się więc ostatecznie wielkie dobrodziejstwo kreacji; i tutaj to, w człowieku, może się rozpocząć zakładanie autogenii (Ducha), czyli stwarzanie własne życia absolutnego, przez jego rozwój samorzutny i przez współodpowiednie odpieranie nicości.

Te dwa składniki życia ziemskiego, będącego dopiero względnym do warunków czasu i przestrzeni, objawiają się w człowieku: pierwsza, nicość, w INDYWIDUALNOŚCI jego bytu; druga, Autogenia (Duch), w POWSZECHNOŚCI jego rozumu. Człowiek winien tedy odpierać w sobie swą własną indywidualność, a usiłować ją utożsamić z powszechnością, ażeby ją (indywidualność) ziścić całkowicie w tej ostatniej, i ażeby tym sposobem kroczyć ku wielkiemu dobroczynnemu celowi, dla jakiego został stworzony. Toteż wszystko, co się wiąże z tą indywidualnością człowieka, z jego nicością, uznane być musi za ZŁO czy WYSTĘPEK; i nawzajem, wszystko, co się wiąże z powszechnością jego rozumu, poczytywane być musi za DOBRO czyli CNOTĘ; albo raczej, zło i dobro, występek i cnota — to jeno owa nicość i owa Autogenia (Duch) w człowieku.

Otóż dopóki indywidualność bytu, ziszczona nicość, jest tylko pewnym bezwładem, który człowiek powinien przezwyciężyć, póty zło, z tym bezwładem związane, stanowi zwyczajne przywary ludzkości, mniej lub więcej ciężkie, mniej lub więcej sromotne, w miarę tego, czy się one w mniejszym lub większym stopniu przeciwstawiają wielkiemu człowieka celowi: Autogenji (Duchowi) czyli stworzeniu własnemu życia absolutnego. Ale kiedy ta złowieszcza indywidualność, miast być czysto *bierną* jak w bezwładzie, któryśmy co tylko omówili, sama staje się *czynną* i przeto burzycielską w stosunku do rozumu powszechnego, wynikające stąd okropne zło ustanawia występki ZABÓJCZE.

Pierwszy krok na tej piekielnej drodze przedstawia owo przewrotne działanie nicości czyli indywidualności dopiero z brakiem świadomości, to znaczy bezwiednie: jest to PYCHA, występek obmierzły, który spowodował „upadek aniołów" zgodnie z pojęciami najzamierzchlejszej starożytności, co Schiller tak dobrze streścił w tych słowach:

Und Hohmuth ist's wodurch die Engel fielen
Woran der Hoellengeist den Menschen fast.

Ale po tym pierwszym kroku, do samoczynnego działania nicości czyli indywidualności wkrótce się dołącza świadomość; i wówczas, wychodząc z nikczemnych kunsztów fałszu i zatracenia, ta czynność burzycielska przebiega świadomie, i wielkimi krokami, piekielną drogą występków zabójczych, aby dotrzeć aż do tego kresu: do SATANIZMU, tego występku niepojętego, gdzie nareszcie dobro przekształca się w zło, a prawda w niedorzeczność.

Wybrał i spolszczył
Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

1) Por. Zet nr. 103.

Przyczynek do systematyki języka

Referat napisany na III Polski Zjazd Filozoficzny w Krakowie

(Dokończenie).

Tu się nasuwa bardzo ciekawe spostrzeżenie. Jeśli mianowicie porównamy nin. systemat z systematem psychologii, zestawiając każdy el. i każdą klasę jednego z odnośnym el. czy klasą drugiego, uderzy nas zupełna ich współodpowiedniość. A więc:

Myśl wyrażona odpowiada *wiedności* w ogóle.

Brzmienie, rozważane w oderwaniu od wszelkiego znaczenia, stanowi proste *wyobrażenie* (Vorstellung) dźwiękowe.

Znaczenie samo, oderwane lub przynajmniej uniezależnione od brzmienia, możliwe jest tylko wewnątrz podmiotu, a zatem odnosi się bezpośrednio do *świadomości*.

Mowa dydaktyczna kieruje się wprost do *umysłu*.

Mowa wiązana działa przede wszystkim na *zmysłowość* (słuch, poczucie rytmu...).

Przysłowia etc. są obliczone na łatwe z a p a m i ę t a n i e, odnoszą się przeto do *wyobraźni odtwórczej*.

Krasomówstwo ma na celu podniecanie f a n t a z j i, czyli odwołuje się do *wyobraźni wytwórczej*.

Intonacja kieruje się bezpośrednio do *uczucia; interpretacja* zaś do *poznania*.

Onomatopeja, przez swą dobitną celowość, odwołuje się do naszego s ą d u t e l e o l o g i c z n e g o, a więc do *zrozumienia*. Istotnie, tylko w wyrazach tego typu co „gwizd", „trzask", „grom" ...*rozumiemy* wyraźnie, dlaczego z danym znaczeniem złączyło się właśnie to a nie inne brzmienie; tymczasem w wyrazach typu nie-onomatopeicznego d o w i a d u j e m y się po prostu — że tak powiem: bez dyskusji, bez uzasadnienia — jak one mają brzmieć.

Co się wreszcie tyczy *dzieła literackiego*, to nie potrzeba nawet tłumaczyć, że jest ono zawsze wytworem świadomej *woli*, w wypadkach zaś idealnych — owocem *genjuszu*.

Jak zawsze, tak i tutaj: z każdej z powyższych jedenastu odrębnych części można wysnuć nowy całkowity systemat. Byłaby to nawet praca bardzo ciekawa, i cieszyłoby nas, gdyby kto się jej podjął. Ja tu poprzestanę na systematycznym rozwinięciu jednego tylko składnika, mianowicie MOWY WIĄZANEJ, t. j. el.-powsz.-bytu powyższego systematu.

2. MOWA WIĄZANA.

Tutaj czynnikiem najbardziej charakterystycznym i zasadniczym, który przeto uznamy za el. neutralny nin. systematu, bez wątpienia jest najogólniej pojęta MIARA. Z kolei wypada rozważyć, jakie to 2 el. — czynny i bierny — są w tej Mierze samej zneutralizowane.

Tym, co w Mierze jest czynne, co ją reguluje, co jej nadaje ton i charakter jest: el. — wiedza: PRZYCISK, a k c e n t — ew. długość samogłoski i t. p.; ale celowo ograniczam się tu do tego, co ma bliższe zastosowanie w języku polskim.

Biernym, że tak powiem, materjałem budowlanym, który się daje wyodrębnić z Miary po usunięciu Przycisku, są: el. — byt: niekwalifikowane ZGŁOSKI, s y l l a b y.

El. — powsz. — wiedza, skojarzenie miary i przycisku; miara organizowana przez przycisk, obliczana na podstawie przycisku: RYTM.

El. — powsz. — byt, skojarzenie miary i zgłosek: miara obliczana na podstawie zgłosek, t. zn. ilościowo, bez szczególnego względu na jakościujący współudział przycisku: niekwalifikowana FRAZA poetycka, rozumiana jako ciągły, żadnym z góry ustalonym przerwom nie poddany, tok syllabiczny.

Zanim omówimy el. — przejściowe, zaznaczmy wogóle, że zawsze wprowadzają one, do zasadniczo c i ą g ł e j natury każdego z el. powszechnych, właściwą sobie n i e c i ą g ł o ś ć. Boć istotnie, stanowią one n a w r o t, a więc jakby załamanie prostolinijnego kierunku odśrodkowego, jaki cechuje el. powszechne.

Tak się też dzieje i tutaj. Wyobraźmy sobie tok RYTMICZNY (el. — pow. — wiedza), płynący niejako w nieskończoność; przestanie on czynić wrażenie mowy wiązanej, właśnie wskutek braku tych ograniczeń, któreby dawały punkt oparcia naszemu poczuciu rytmu. Weźmy choćby takie zdanie: „Kiedy wczoraj rano myśmy wszyscy razem byli w domu pana Jana, pani Wanda rzekła..." Jest ono doskonale rytmiczne (czysty chorej), a bynajmniej jednak nie brzmi jak wiersz. Rzecz jasna, że podobnież i Fraza (el. — powsz. — byt) kilometrowej długości, nie rozbita na żadne człony, nie sprawiałaby wrażenia mowy wiązanej. — Zachodzi tedy nieodzowna potrzeba jakichś nowych czynników. Są niemi:

El. — przejściowa — wiedza, funkcja Rytmu, niejako równoznaczna z Frazą, t. zn. z miarą ujmowaną i l o ś c i o w o. Jest to METRUM, wzornik rytmowy, oparty na dokładnym ustaleniu liczby przycisków w danym odcinku.

El. — przejść. — byt, funkcja Frazy, niejako równowarta z Rytmem, którego samąż istotą jest regularny podział na człony. Będzie to STROFA (zwrotka), czyli poprostu *podział frazy na oddzielne wiersze*, co wprowadza oczywistą analogję z podziałem na człony, cechującym rytm.

Przechodzimy do części systematycznej, gdzie przycisk i zgłoski kojarzą się już bezpośrednio.

Wiedza — w — bycie, wpływ częściowy przycisku w dziedzinie zgłosek: CEZURA (średniówka). Tutaj bezwładne rozsypisko zgłosek zostaje częściowo ujęte w karby przez miarkujący, stale w jednym miejscu padający przycisk.

Byt — w — wiedzy: RYM. — W końcówce wiersza białego, przycisk pada, dajmy na to, na zgłoskę przedostatnią — przyczem zupełnie jest obojętne, jak ona brzmi. Inaczej gdy chodzi o wiersz rymowany. Skoro w końcówce pierwszego wiersza Pana Tadeusza przycisk padł na zgłoskę *zdro*(wie), to w następnym wierszu pada on już nie na dowolną zgłoskę, lecz koniecznie na taką, która się kończy na *o* i stoi przed *wie*. — Mamy tedy w rymie bardzo wyraźny wpływ zgłosek na przycisk.

Zbieg — celowy: STOPA. Tutaj zgłoski i przycisk, z istoty swej wręcz heterogeniczne, zbiegają się w doskonałej harmonji i równowadze, aby wspólnie wytworzyć jednostkę o pierwszorzędnym znaczeniu dla całego systematu mowy wiązanej.

Jednakość — wieńcząca, utożsamienie systematyczne rytmu i frazy: WIERSZ RYTMICZNY, jako charakterystyczny budulec wszelkiego utworu wierszowanego.

Każda z powyższych jedenastu części daje się rozwinąć w całkowity systemat. My tu kolejno damy 2 tylko rozwinięcia: RYMU i STOPY.

3. RYM.

Teorja rymu polskiego jeszcze nie jest o tyle wypracowana, by można się było pokusić o zupełnie ścisłą jej analizę. To też próba poniższa będzie tylko najogólniejszym zarysem systematyki tego zagadnienia.

Więc przedewszystkiem, cóż jest najpierwotniejszą cechą rymu? Nie ulega chyba wątpliwości, że ją możemy określić j. n.: (EN): PODOBIEŃSTWO KOŃCÓWEK. — Że zaś końcówką, o którą chodzi w rymie, jest część wyrazu, rozciągająca się od *samogłoski akcentowanej włącznie aż do końca*, więc dla metodyczności dalszych wywodów rozbijemy tę końcówkę na dwa specyficznie odrębne człony, a mianowicie:

(EW): TOŻSAMOŚĆ SAMOGŁOSKI AKCENTOWEJ;

(EB): TOŻSAMOŚĆ RESZTY KOŃCÓWKI.

Wówczas 2 dalsze składniki, czyli odnośne skojarzenia el. — neutralnego z el. — wiedzą, oraz el. — neutralnego z el. — bytem, przedstawią się tak:

El. — powsz. — wiedza: PODOBIEŃSTWO KOŃCÓWEK PRZEZ TOŻSAMOŚĆ SAMOGŁOSKI AKCENTOWEJ. Przykład: *Pan — sam, Jasia — pasa.*

El. — powsz. — byt: PODOBIEŃSTWO KOŃCÓWEK PRZEZ TOŻSAMOŚĆ RESZTY KOŃCÓWKI. Przykład: *Jestem — miastem, była — biała.*

El. — przejść. — wiedza: RYM MĘSKI ZAKOŃCZONY SAMOGŁOSKĄ. Tutaj upodobnienie się funkcji el. — powsz. — wiedzy do el. powsz. — bytu sprawione jest przez to, że tej „reszty końcówki", któraby mogła się różnić, poprostu niema. Przykład: *dwa — zna, stu — snu.*

El. — przejść. — byt: NIEPEŁNY RYM DAKTYLICZNY. Tutaj upodobnienie się odwrotne jest sprawione przez to, że wprawdzie mamy tożsamość przedostatniej samogłoski, t. zn. tej, którą z w y k l e akcentujemy po polsku, ale rym jest osłabiony przez wyjątkowy przycisk na t r z e c i e j od końca samogłosce. Przykład: *mu-zyka — mi-styka, wo-góle — w szcze-góle.*

Byt — w — wiedzy: TOŻSAMOŚĆ SAMOGŁOSKI AKCENTOWANEJ PRZY CZĘŚCIOWEJ TOŻSAMOŚCI RESZTY KOŃCÓWKI. Przykład: *wieczór — przeczul.*

Wiedza — w — bycie: TOŻSAMOŚĆ RESZTY KOŃCÓWKI PRZY CZĘŚCIOWEJ TOŻSAMOŚCI SAMOGŁOSKI AKCENTOWANEJ. Przykład: *czołem — wziątem.*

Zbieg — celowy: RYM GRAMATYCZNY, CZYLI T. ZW. „CZĘSTOCHOWSKI". Mamy tu już tożsamość i samogłoski akcentowanej i reszty końcówki, a jednak rym jest właściwie pozorny, bo zamiast podobieństwa dwu końcówek, mamy tu poprostu powtórzenie tej samej; przykład: *małemu — narodzonemu.* Celowość jest tu wyraźna: gdyż niewątpliwie to właśnie zjawisko, narzucone nam przez sam ustrój języka, dało pierwszym poetom impuls do rymowania. — Dodatkowo pod tę kategorję wypadnie podciągnąć również i niby — rymy, polegające na zwykłym powtórzeniu całego słowa, jak np. *prawda — prawda* w „Panu Tadeuszu".

Jednakość — wieńcząca: RYM ZUPEŁNY, czyli podobieństwo końcówki (el. neutralny) przez tożsamość samogłoski akcentowanej (el. — powsz. — wiedza) i przez tożsamość reszty końcówki (el. — powsz. — byt). Prz. *albowiem — zdrowiem.*

4. STOPA.

W systemacie wersyfikacji, za zbieg — celowy uznaliśmy STOPĘ. Tutaj bierzemy ją za el. — neutralne nowego syst., po czem ustalamy składniki biegunowe. Są niemi:

El. — wiedza: WZBIERANIE GŁOSU, jako c z y n n y składnik stopy; oraz

El. — byt: OPADANIE GŁOSU, jako b i e r n y składnik stopy.

El. — powsz. — wiedza, stopa, polegająca na samym wzbieraniu głosu: ANAPEST. — Jakoż istotnie, w rytmie tym czujemy pośpiech, energję, pęd.

> Zakrzyknęli surowi rycerze: na koń!
> I pognali z rozgłośnym tętentem.

El. — powsz. — byt, stopa, polegająca na samym opadaniu głosu: DAKTYL. W tym rytmie brzmi majestatyczna powolność:

> Widzę, że nie jest On tylko robaków
> Bogiem — i tego stworzenia, co pełza. (Słowacki).

Jest to podstawowa stopa heksametru:

> W mieście zaś Kownie po środku ciągną się błonia Peruna...
> Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym...
> (Mickiewicz).

El. — przejść. — wiedza, przejście od anapestu do daktyla, a więc wprawdzie wzbieranie głosu, lecz już umiarkowane przez to, że „rozpęd" jest mniejszy, ile że moment szczytowy tego wezbrania jest poprzedzony nie przez dwie zgłoski, jak w anapeście, ale tylko przez jedną: JAMB. — To też rytm ten jest energiczny, jednak czyni wrażenie mniejszego pędu:

> Niech zmilkną serca waszych strun
> I dusze w was dziecięce.
> (Makuszyński).

El. — przejść. — byt, przejście od daktyla do anapestu, a więc wprawdzie opadanie głosu, lecz już umiarkowane przez to, że spadek odbywa się na mniejszej przestrzeni, mianowicie w przeciągu jednej tylko zgłoski, a nie, jak w daktylu, dwóch: CHOREJ. Przeto rytm ten jest łagodny, ale mniej powolny:

> Andziu, nie rusz tego kwiatka,
> Róża kole, rzekła matka.

Aż dotąd mieliśmy wszędzie albo samo tylko wzbieranie, albo samo opadanie. Teraz, w części systematycznej, szukajmy takich stóp, w których te 2 skrajne składniki już się ze sobą łączyły — oczywiście w obrębie j e d n e j stopy.

Byt — w — wiedzy, wpływ częściowy opadania do wzbierania: PEON TRZECI. — Jest to jak gdyby anapest z dodaniem jednozgłoskowego spadku. Oto typowy przykład:

> Narzeczone z porcelany,
> Woniejące majerankiem.
> (Br. Ostrowska).

Wiedza — w — bycie, wpływ częściowy wzbierania do opadania: PEON DRUGI. — Jest to jak gdyby daktyl poprzedzony jednozgłoskowym wezbraniem. W poezji polskiej spotykany nader rzadko. Za przykład mogą służyć oddzielne słowa tego typu, co: mechanika, widzieliście, powiedziałbym itp.

Dodajmy, że przy mniej skrupulatnym rozbiorze peon drugi jest zwykle uważany za dwa jamby, a peon trzeci za dwa choreje. Teoretycznie istnieje również peon pierwszy (np. *chcieliby̨śmy*) i peon czwarty (np. franc. *moralité*), atoli po polsku zupełnie się one zlewają z chorejami, resp. z jambami.

Zbieg — celowy: AMFIBRACH. Tu wzbieranie i opadanie dochodzą do całkowitej równowagi. Jest to jakby końcowy rezultat potencjalnego zbliżania się do siebie obu stóp przejściowych t. j. jambu i choreja jeśliby się one wreszcie spoiły w jedno. Osobliwie falisty to rytm:

> i wy mię pytacie z pijanym hałasem,
> Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem...

Jednakość — wieńcząca: Eufoniczne SKOJARZENIE RÓŻNORAKICH STÓP w budowie utworu:

> Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...
> (chorej, amfibrach, chorej, amfibrach, amfibrach).

Oto przykłady zastosowania Prawa Tworzenia do określonego systematu rzeczywistości, w danym wypadku do filozofji języka.

Czesław Jastrzębiec - Kozłowski.

Antoni Madej

O Najwyższy, Niewysłowiony...

I.

Jaka postać Twa? — Nie wiem,
ani twarzy Twej nie widziałem,
ale słyszę: wiatr w drzewie
śpiewa pieśń na Twoją chwałę:

II.

Nie spłynąłeś ku mnie niespodzianie,
nie zstąpiłeś z ołtarzy tajemnych,
odnalazła Cię duszy zgryzota
poza pustką, za nicością zwiewną.

III.

Jesteś słońcem? O słońcem-rodzicem,
lecz Twych blasków wzrokiem nie uchwycę,
bowiem po tej ziemskiej stronie rzeczy
widzę tylko w widmach Twych promieni
tęczę-zjawę, co serce me leczy.

IV.

Rzeczy, fakty i wszystkie zjawiska,
jak pryzmaty-analizatory,
odbijają z daleka i z bliska
Twoje loty, Twe wysokie tory.

V.

Jaka postać Twa? W sobie ją szukam,
w oku, piersi i dłoni skurczonej.
Serce cichnie. Serce wiarą stuka.
O Najwyższy, Niewysłowiony...

Antoni Madej

Dobra nowina

Jak ciężko dzieło podjąć i dzieła dokonać,
przez budowlę stu pięter życia los swój nieść,
gdy wokoło nie róże, ale lasy płoną
i niebu grozi zaciśnięta pięść.

Jak ciężko w sobie tworzyć i sobą pomnażać
prawdę jak koła kredowego krąg,
dojść tam, gdzie się sama Moc wytwarza,
dojść tam — stąd.

Iść ziemią, pod stopami mając proch i pył —
zetlałe ciała umarłych pokoleń.
Iść tak, by nikt nie szydził: — Był, no, cóż, był —
ale by powiedziano: — Wniknął w grozę doli.

Jak żmudnie się nagina pod wargi to słowo,
wyzwalające, twórcze, pierwsze i jedyne,
odwiecznie kształtujące wichrem, piorunowo
dobrą nowinę.

To jedno, jedno słowo stu pięter przęsłami
przecieknie strugą lotną świetlistego żaru.
I dokona się dzieło. I zostanie z nami
jako spadek wieczysty niezwykłego daru.

Krytyka materjalizmu fizykalnego (III)

Przy przejściu tem, zakładając wypadek, że dosłownie widzimy nawet jak z drobin ciał białkowych n. p., grupujących się w pewien określony sposób, powstaje nie „kawałek materji żywej", jak mówią mechaniści, tylko żywe indywiduum, — (a to jest różnica zasadnicza, bo właśnie ów „kawałek materji żywej" w analogji do kawałków martwej jest czemś niewyobrażalnem) — nieznacznie przechodzimy do rozważań mikro, t. zn. „*bezpostaciowych*" dla świata makro w naszym rzędzie wielkości (w pewien sposób są one „postaciowe" o ile rozważamy sam atom lub drobinę ciała złożonego w ich konstrukcjach, ale nie postaciowe w terminach atomowych, jeśli mówimy o większych kompleksach tych atomów — wtenczas traktujemy atomy statystycznie, en masse) do rozważań makro, to znaczy postaciowych w naszym właśnie rzędzie wielkości, czyli do rozważań deskryptywnych, opisanych zgrubsza w stosunku do przedmiotów poglądu życiowego i zjawisk, których te przedmioty są względnie stałemi częściami: n. p. rośliny, my sami, a dalej system słoneczny i dalsze systemy gwiezdne i t. d. Wtedy losy poszczególnych atomów nie obchodzą nas nic — rozważamy je na mocy zasady Wielkich Liczb, (bo ostatecznie wszystkie prawa fizyki są statystyczne z wyjątkiem prawa ciężkości *w ostatniej* jego interpretacji w Ogólnej Teorji Względności), a obchodzą nas tylko właśnie postacie danych kompleksów materji wyższego rzędu, z tem jednak, że o ilebyśmy chcieli i technicznie mogli (przynajmniej według dawnej fizyki deterministycznej) to byśmy mogli podać dokładnie, znając położenie i szybkości wszystkich cząstek, kiedy i gdzie dana postać „wychynie" z chaosu tłukących się o siebie cząstek tych: nieporządek w wielkim stylu stwarza w wyższych od rzędu jego (tego nieporządku) elementów rzędach wielkości, porządek; ale porządek ten nigdy nie jest absolutny: jest względny w stosunku do rzędu wielkości, w których się znajdujemy.

Tu zaznaczyć muszę po drodze pogląd mój na kwestję wyjaśnialności (w obrębie poglądu fizykalnego) tego, co nazwałem „takością a nie innością" świata w danym momencie i tąże właściwością każdego z jego elementów, przynajmniej w wymiarach makro, t. j. w naszym rzędzie wielkości. Otóż właściwie fizyka na to pytanie odpowiedzieć nie może — musiałaby podać ogólną formułę całości świata — zwykle zaś operuje systemami izolowanemi i to sztucznie — a ta całość świata musi być, wbrew fizykom uprawiającym fizykalną Ontologję i chcącym widzieć nawet świat jako aktualnie krzywy i skończony[1]) — przyjęta za nieskończona, ponieważ skończony świat, stanowiący jedność z hyper - przestrzenią, jest w znaczeniu poprzednim niewyobrażalny i może być tylko uważany za wygodną, w danym punkcie rozwoju fizyki, fikcję, dla opisania pewnego jego, pewnego rzędu wielkości i pewnego rzędu wielkości fizykalnych jego elementów składowych, wycinka. Ponieważ stworzenie ogólnego równania świata jest na tle jego nieskończoności niemożliwe, w związku także z niemożliwą do osiągnięcia nieskończoną ilością równań dla każdego oddzielnego elementu (atomu tym razem) i to niemożliwe nie na tle *naszej* niedoskonałości umysłowej, tylko wogóle — (gdzie wchodzi w grę aktualna nieskończoność tam niema już ułomności i takich to a takich istot, tylko jest niemożliwość absolutna) — trzeba więc zupełnie zrezygnować z możności, choćby (czysto) teoretycznej, zdania sprawy z „takości a nie inności" każdego poszczególnego wycinka świata w danej części przestrzeni i w danym czasie, czyli z charakteru jego danej fazy w całości: nigdy nikt nie dowie sie czemu układ słoneczny ma tyle planet i w takiem rozmieszczeniu i czemu Ewerest ma taki kształt i czemu są nosorożce i krokodyle (według mechanistów i to musiałoby być objaśnionem) i to nietylko my ułomni, ale najpotężniejsze z wyobrażalnych, ale jednak skończone i ograniczone w Czasie i Przestrzeni (IPN). Gdybyśmy znali wszystkie stany naszego układu zawsze pozostałby wpływ całej Drogi Mlecznej, a dalej innych mgławic i ich systemów i tak dalej i dalej aż w nieskończoność przestrzenną i w wieczność w tył w czasie. Chyba że przyjmiemy nonsens świata skończonego, który się gdzieś kończy wraz z przestrzenią i czasem, stanowiącemi jedno cztero - wymiarowe kontinuum i to przyjmiemy nie jako fizykalną fikcję obrazową, tylko jako ontologiczną (istnieniową) rzeczywistość. Ale wtedy wogóle niema o czem mówić — wszystkie problemy ulatniają się w zupełnej dowolności, bo przyjąwszy tamto za rzeczywistość, możemy równie dobrze przyjąć dowolną wiarę religijną. Zwracam uwagę, że nie mam bynajmniej zamiaru odwartościowywać fizyki, tylko chciałbym ją utrzymać w jej własnem łożysku w ten sposób. aby nie debordowała w niedozwolone dla niej z założenia tereny, w których przynosi zamiast korzyści szkodę i to zdaje się i sobie samej też[2]).

A więc wracając do poprzedniego jeśli mówić o tem przejściu miedzy materją martwa a żywa [dla skrócenia między (M. M.) a (M. Ż) jak będę dalej te istności nazywał] fizycy i chemicy mogą zawsze powiedzieć: „przecież w przejściu od jednych „jednostek" nie przekraczając obrębu naszego poglądu także są różnice jakościowe: ciało poglądu życiowego n. p. kawałek drzewa (martwego) jest zupełnie różny od oddzielnych połączeń chemicznych, które go składają — między istnościami temi jest przepaść jakościowa — dalej przepaść taka istnieje między wszystkiemi połączeniami, a atomami z których się one składają, nie mówiąc już o przepaści, która dzieli atomy od ich „składników": elektronów — te ostatnie niewyobrażalne są już w prostych modelach przestrzennych dostępnych naszej wyobraźni — są one i stosunki ich, tylko do przedstawienia w postaci formuł matematycznych, bo o ile czterowymiarowe kontinuum, w którego terminach Whitehead uparł się opisać świat życiowego poglądu, jest w pewien sposób jeszcze do wyobrażenia, to „paczki fal" ,czy elektrony zajmujące (w pewnym sensie) całą przestrzeń, a nie dające się określić dokładnie co do położenia i szybkości jednocześnie, lub dające się opisać w swych stosunkach przy potęgującej się, w miarę ich ilości, ilości wymiarów przestrzeni, są absolutnie ontologicznie nie - do - pomyślenia: „coś się tam dzieje takiego jakby" — tu już obraz nie daje się spełnić w wyobrażeniu — jest to „Philosophie als ob" bez nadziei sprowadzenia jej kiedykolwiek do jakiejś ontologji, jak to było z formułami dawnej chemji, która też była kiedyś „als ob" a jednak się potem „uontologiczniła" — tu jest kres i *tu jest kres fizyki wogóle:* charakter tych koncepcyj dowodzi żeśmy się dobrali do ostatecznego dla nas rzędu małości i już ani kroku dalej nie pójdziemy. Oczywiście optymiści zawsze powiedzą: „tyle razy mowa była o tych „kresach", a jednak zawsze się wyjście znalazło, albo przez nagły „Einfall" w hypotezie albo przez nowy fakt „naprowadzający" w otaczającym świecie — nie trzeba wydawać przedwczesnych wyroków — czekajmy doświadczeń" Otóż tu jesteśmy ofiarami nieporozumienia: oczywiście optymiści mają rację w pewnym zakresie, odnośnie do pewnego rodzaju faktów. Ale my dziś już mamy przed sobą materjał tak wielki, że, co do ogólnych możliwości we wszystkich kierunkach, możemy sobie już pozwolić na niesłychanie daleko sięgające, a kto wie czy nie ostateczne dedukcje. Tu nie chodzi bynajmniej o zacieśnianie horyzontu myśli ludzkiej, który jest jeszcze olbrzymi, ani też o ograniczanie t. zw. „ducha" naszego do jakichś podwórek teraźniejszości, tylko o to, aby nie dojść do możności przebywania stałego w umysłowym kryzysie, wśród absolutnie niespełnialnych obietnic, bo ta postawa ani nie jest twórcza na przyszłość ,ani intelektualnie moralna.

A więc oczywiście między poszczególnymi „planami" (o ile można użyć tego zdyskredytowanego przez okultyzm pojęcia w innem znaczeniu) fizykalnego poglądu istnieją znaczne różnice i przechodząc z wymiaru jednych elementów do wymiaru drugich n. p. z elektronów do atomów, a dalej z atomów do drobin, a dalej do „przedmiotów", robimy wielkie skoki jakościowe, to jednak pozostajemy w jednym i tym samym „gatunku rzeczy", czy raczej ogólniej istności, mimo pozornej przepaści dzielącej n. p. mój stół w wymiarach poglądu życiowego i elektron w interpretacji Diraca: wszędzie, mimo całego idealizmu ostatniej fizyki, mowa jest o jakichś rozciągłościach, których prawzorem jest nasz martwy przedmiot, „twardy i niezmienny", poglądu życiowego — bez rozciągłości w ruchu niema bowiem fizyki i mylą się ci hyperidealiści, którzy sądzą, że fizyka to tylko matematyka i nic więcej. Tak nie jest: — wzory fizyki podlegają interpretacji i na miejsce zmiennych i parametrów wchodzą wielkości, pochodzące z doświadczenia, z pomiarów i mające pewne ontologiczne, w znaczeniu fizykalnem, a nie tylko i jedynie operacyjne, znaczenie. Oczywiście idealizm fizykalny jest bardzo wielki w pewnych sferach, ale nie dowodzi to, że fizyka zlała się całkowicie z matematyką. Dlatego to, mimo, że ostatnie nowalje w fizyce muszą bardzo dotyczyć mechanistów, ponieważ od nich zależy język, którego oni dla opisu świata używać będą i terminy, w których będą sobie sami stawiać problemy, to jednak ta kwestja nie jest tak bardzo istotna, jak to się niektórym idealistom zdaje: materja nie „rozwiała się w nicość" pod wpływem ostatnich teorji, jest ona tak samo solidna jak była, tylko innego gatunku — mniej wyobrażalne symbole zostały jej podporządkowane i idealiści ontologiczni zupełnie nie mają się czego cieszyć. Tem niemniej pewne trudności przełożenia języka poglądu życiowego na język ostatniej fizyki będą, szczególniej jeśli chodzi o ciała żywe, należące do określonych osób, a nie o fikcyjne a tak lubiane przez mechanistów „kawałki materji żywej": łatwiej obrócić w prawie - nicość jakiś stół, niż swoje własne kości i bebechy, które czują, a z drugiej strony trudno wyobrazić sobie realne rzeczy, zbudowane z fikcyjnych elementów, a do takiego wniosku powinniśmy dojść, biorąc à la lettre fizykę w jej ontologicznych konsekwencjach i nie zostając idealistami w znaczeniu ontologicznem.

Mechaniści mówią: komplikacja stosunków przestrzennych większych ilości tych samych elementów daje ciała jakościowo zupełnie do siebie niepodobne, a więc może dać w pewnym swym stopniu coś tak niepodobnego w zachowaniu się swem (behaviour!) do ciał martwych, jak „ciało" żywe— tu ciało jednak występuje w swem dosłownem znaczeniu pierwotnem. W rozumowaniu tem jest pewna implikacja z poglądu niemechanistycznego, na którą ścisły mechanista nie może sobie pozwolić: oto apelujemy tu do jakichś „różnic jakościowych" a przez to do „prywatnego", tak pogardzanego przez mechanistów świata przeżyć wewnętrznych, t. zw. psychicznych, żywego osobnika. Czysto mechanistycznie bowiem rzecz biorąc z założenia samego, operujemy bezjakościowemi w pewnym sensie „cząsteczkami", wykluczywszy w granicy z fizykalnego obrazu świata żywe indywiduum jako takie, a wszystkie jakościowe dla nas, w poglądzie życiowym (i psychologistycznym) różnice, wyrażamy w stosunkach ilościowych, z dodatkiem stosunków przestrzennych to jest konfiguracji (a w pewnym sensie i czasowych, o ile nie bierzemy pod uwagę gotowych ciał chemicznych tylko przebiegające reakcje), t. zn. biorąc pod uwagę jakości formalne (postaciowe — Gestaltqualitäten) układów atomowych, ale jakby zobjektywizowane: od tej jednej jakości t. j. postaciowo-przestrzennej, nie zdołaliśmy się uwolnić, ale też ona nie odgrywa w tym wypadku roli bezpośrednio danej jakości subjektywnej (pomimo, że jakość ta może, a nawet musi być i tak rozpatrywana — stanowi bowiem przejście do rzeczy subjektywnie danych do objektywnie w przestrzeni zachodzących) tylko stanowi wyraz tego, co się objektywnie w przestrzeni dzieje, t. zn. niezależnie od tego czy w danej chwili my lokalizujemy w tem danem miejscu przestrzeni nasze aktualne „żywe" jakości (n. p. barwy) czy nie. Bo cokolwiek jakościowo odczuwać możemy w związku z danemi zjawiskami, musimy skonstatować, że przestrzennemu układowi naszych jakości odpowiada coś objektywnie — w jakiem przybliżeniu, z jakiemi „błędami" (t. j. stosunkiem naszych spostrzeżeń do również tylko bardziej przybliżonych spostrzeżeń instrumentalnych) to inna sprawa, ale odpowiada: tam gdzie dla mnie n. p. kończy się w przestrzeni zielone, a zaczyna czerwone, musi też się coś kończyć fizykalnie, objektywnie, a inne zaczynać, a jeśli chodzi o halucynacje, to odnosimy się zawsze do jakichś zmian objektywnych w naszych organach centralnych n. p. Zmian bezzwiązkowych, wyrażających się n. p. w dzikiej wprost koncepcji „przerastania ciała przez „ducha", który ciało to (i mózg oczywiście y compris) za narzędzie do pewnych tylko celów używa (Bergson), niema i być nie może, gdyż trwanie nasze z naszą rozciągłością stanowią absolutną jedność w bezpośrednim przeżywaniu i są jedno bez drugiego niewyobrażalne[3]): niema żadnego „ducha" i „ciała" oddzielnie, tylko są osobowe Istnienia Poszczególne czasowo - przestrzenne. Otóż zachowujemy schemat porządku przestrzennego obok stosunków ilościowych i tem tłumaczymy różnorodność bezpośredniego przeżywania t. zn. sprowadzamy jakość do ilości + różnice układu — bez tego ostatniego mielibyśmy czystą matematykę, a nie fizykę i chemję. Mówienie więc o różnicach jakościowych między ciałami chemicznemi jest wyjściem poza własne założenia mechanizmu, których przekraczać mu, pod grozą pomieszania dwóch niewspółmiernych poglądów: fizykalnego i psychologistycznego, nie wolno[4]). Jakże jednak często spotyka się ten taniec na dwóch (a czasem trzech) poglądach (nawet u Whiteheada — jak to na innem miejscu szczegółowo wykażę), z którego autor zupełnie sobie sprawy nie zdaje, mając złudzenie kompletnej jednolitości i „czystości" swej koncepcji. Ale z punktu widzenia czysto - atomistycznego, mechanistycznego, niema różnic jakościowych i co gorsze niema postaci, poza postaciami „struktur chemicznych" — przestrzeń jest wypełniona trzymającemi się ze sobą przy pomocy „sił międzycząsteczkowych"[5]) atomami, ułożonemi w większe jednostki: drobiny ciał złożonych czyli chemicznych połączeń. Ścisłej granicy ciał jako takich, tych danych nam w jakościach (choćby naszego dotyku tylko) i ściśle przeważnie odgraniczonych, chemja nie zna: tam są tylko różnice z wartości i rozbijalności danych grup atomowych i mniejszej lub większej ich zmienności, ale jedne układy, przez związki granic ich, przechodzą w drugie. — Według tej koncepcji my przejścia te ujmujemy zgrubsza w stosunkach jakościowych w naszem trwaniu.

(c. d. n.).

S. I. Witkiewicz.

---

[1]) Według Jeansa „New Background of science" cała ta hypoteza krzywości, którą już różni popularyzatorzy starali się wmówić publiczności jako zupełnie łatwą do przyjęcia prawdę ontologiczną, okazała się teraz według samych: Einsteina i de Sittera niepotrzebną: niema konieczności krzywej przestrzeni — można odetchnąć.

[2]) Patrz fantastyczne metafizyczne pomysły uczonych tej miary co Jeans i Eddington, nie mówiąc już o metapsychice i zaświatach Sir Ollivera Lodge'a, ani z drugiej strony o „neutral stuffie" Russela i do potworności zawiłych i filozoficznie bezpłodnych, a podziwu godnych jako akrobatyka umysłu, koncepcjach Whiteheada. Zwraca uwagę fakt, że dwaj ostatni są jednymi z najwybitniejszych logistyków świata. Mało im logistyka pomogła.

[3]) Niewyobrażalne, zawsze w znaczeniu zdefinjowanem poprzednio.

[4]) Do podobnego zarzutu w stosunku do mechanizmu doszedł niezależnie odemnie p. Mieczysław Choynowski w związku z lekturą książki Warrala „The Ontlook of science" str. 35.

[5]) Jak się te siły tłomaczy niewiadomo — tu jest granica małości naszego układu nieprzekraczalna.

Don Kiszot mimo woli

Zadaliśmy sobie trud przeczytania wszystkich numerów tygodnika „Zaczyn", jakie się dotąd ukazały. Efekt przygniatający. „Zaczyn" uprawia kult państwa-absolutu, państwa pojętego jako cel sam w sobie, bez względu na rację bytu istot ludzkich, jakie się na to zrzeszenie prawne składają Ta *mistyka państwa*, sprzeczna z poczuciem rzeczywistości trzeźwego umysłu, pragnie się oblec w jakieś pseudonaukowe, racjonalistyczne pozory nowoczesnej wiedzy o państwie, „metodologję myśli państwowej". Ten amorficzny koszmar-chochoł, straszący na rozstaju dróg współczesności polskiej, przystroił się w wiecheć wymłóconej słomy: totalizm państwowy, pozbawiony wszelkiej treści ideowej, wzięty jako „czysta forma" z obcych wzorów.

Sami głosimy bezwzględny autorytet państwa i rozszerzenie jego kompetencyj. P-g. filozofji polityki Wrońskiego atrybucje i zadania państwa wzrosły niepomiernie w obecnej epoce, i tak być powinno: państwo ma monopol kierownictwa człowieka i ludzkości ku ich najwyższym celom ziemskim, t. j. ku osiągnięciu prawdy (wiedzy bezwzględnej) i dobra (moralności publicznej i powszechnego dobrobytu). Potwornością byłaby jednak absolutna suwerenność państwa bez wypełniania przez nie tych zadań i obowiązków. To też powojenne państwo totalne, gdziekolwiek ono sięga po dyktatorską władzę, czyni to zawsze w oparciu o tę wyższą rację prawną, o doktrynę, system pojęć, ideę nadrzędną, która je wypełnia treścią. Tak jest we Włoszech, w Niemczech, w Rosji sowieckiej. Totalizm nie da się pomyśleć bez ideokracji. A jednak red. „Zaczynu" chce Polsce narzucić taki niszczący, bezmyślny koszmar, chce ją wpędzić w takie nieszczęście.

Że takie są właśnie niebezpieczne zakusy redakcji „Zaczynu", dowodem art. wstępny w nr. 10, p. t. „Miljon don Kiszotów", gdzie występuje się z namiętną nienawiścią przeciwko wszelkiej „idei", „misji" i t. p. rzeczom (za wyjątkiem idei państwa samego w sobie, którą „Zaczyn" akceptuje). Nie będziemy udawać, że artykuł ten nie jest skierowany także pod naszym adresem, bo przecież to „Zet" właśnie wygłasza od lat swe ceterum censeo, że „Polsce potrzeba idei!". Zresztą „Zaczyn" sam zdradza się, na kogo się tak gniewa:

„Idea może nie mieć nic wspólnego z ideowcami i ideowością; ideowość może się ujawnić jedynie w działaniu, gadanie zaś o ideach jest stałym nałogiem głupców i próżniaków. Byłoby sto razy sensowniejszem twierdzić, że Polska cierpi nie na brak, ale na nadmiar idej; mesjanizm, syndykalizm, hoene - wrońskizm, demanizm, chrześcijański nacjonalizm i wszyscy Święci oto idee, które można nabyć za 20 groszy w każdym narożnym kiosku z gazetami, natomiast z realizacją czegokolwiek jest w Polsce znacznie gorzej. Tropiciele wielkich idej, heroldzi „misji dziejowych", odgadywacze „nurtów" i orędownicy „przewrotów ducha" dziwnie milkną i cichną w obliczu konkretnych zagadnień."

Ten głębokomyślny cytat reweluje nam zawrotną wiedzę anonimowego autora, który z wyżyn jej ma prawo uważać za „głupców" takich np. badaczy i propagatorów doktryny Wrońskiego, którzy „zęby zjedli" na pracy filozoficzno - spekulatywnej i naukowej. Co do „próżniactwa" to dowiedz się kochaneczku, że ludzie w których godzisz, pracują od lat po 16 godzin na dobę, w takiej „orce" umysłowej i społeczno - publicystycznej, od której pomarliby rzędem w ciągu miesiąca wszyscy redaktorzy „Zaczynu". Z „realizacją" jest u nas „znacznie gorzej" dlatego, bo Polska jest kłębowiskiem „martwych dusz" i każda wielka, społecznie i historycznie doniosła praca, jest u nas zawsze dziełem jednostek i nielicznych grup, zdzierających siły i zdrowie za miljony bezmyślnych próżniaków i zmagających się z biernością ogółu w heroicznem odosobnieniu. Pozatem zawsze się u nas znajduje pomoc państwowa i środki pieniężne na synekury i bezpłodne poczynania, zaś inicjatywa twórcza i pożyteczna liczyć może tylko na własne siły.

Co do zadań konkretnych, to bardzo prosimy dać „heroldom idei" i „misji dziejowej" — do opracowania n. p. budżet min. oświaty lub min. komunikacji, a pokażemy, czy jesteśmy zdolni do „żmudnych i realnych wysiłków"...

„Zaczyn" pisze w dalszym ciągu:

„Niebezpieczeństwem jest w dzisiejszych czasach odbudowanie jakiegoś irracjonalizmu, uczynienie z uczucia głównego motoru postępowania. Czasy które nadchodzą, to czasy świadomości i odpowiedzialności w kształtowaniu dziejów."

Ślicznie. Bardzo się cieszymy, że „Zaczyn" podpisuje się pod tezą „Zetu", głoszoną od wielu lat — że idzie czas świadomego i odpowiedzialnego kształtowania dziejów i że Polska raz wreszcie winna nauczyć się cenić *myśl*, a nietylko uczuciowe, irracjonalne odruchy.

„Panowie „uczuciowcy" chcieliby wykręcić się od olbrzymiej odpowiedzialności ciążącej na każdym z nas, chcieliby skryć się za parawanem „idei", „misji" i „nurtów dziejowych" poczętych gdzieś poza nami i bez naszego udziału, chcieliby pozostawić przyszłość wolnej grze ślepych sił i nieobowiązujących „uczuć" czy „namiętności".

Brawo, autorze! Pognębić tych nieodpowiedzialnych uczuciowców, którzy psioczą na suchy intelektualizm i racjonalizm „Zetu", na nasz ideał „rządów rozumu" i systematycznego planu w rozbudowie rzeczywistości polskiej. Przecież to oni grozili nam, że wysiłki nasze nie zdadzą się na nic, że Polacy nigdy nie przyjmą takiej ściśle rozumowo i schematycznie - konstrukcyjnej doktryny, jak wronskizm, bo ich bazą było i jest „czucie i wiara", które więcej znaczą niż „mędrca, szkiełko i oko".

Tylko co ci uczuciowcy mają wspólnego z ideą misji historycznej, polegającą właśnie na opanowaniu „wolnej gry ślepych sił" i podporządkowaniu ich żelaznej strukturze polskiej, wytyczonej na stulecia racji stanu...

Szukając analogji w historji wojen, „Zaczyn" stwierdza, że „punkt ciężkości przesuwa się stale z siły fizycznej w kierunku momentów planistycznych i wynalazczych, decydująca rozgrywka przenosi się z walki wręcz na walkę intelektów w laboratorjach i pokojach sztabów".

Otóż to. Nie ślepa siła fizyczna, lecz myśl decyduje dziś o losach narodów. Ileż to razy zwracaliśmy się z tych łamów do Polski z ostrzegawczem zdaniem Słowackiego: „Oto już opinją o Tobie jest, że *myśleć* nie umiesz. a dobra jesteś tylko do korda!" Jak wytrwale nawoływaliśmy do stworzenia Ciała Kierowniczego, które byłoby „mózgiem" państwa, regulatorem życia Polski pod kątem jej najwyższych celów i ośrodkiem dalekowzrocznych planów państwowych.

Gdyby istniała taka instytucja, ostrzegłaby odrazu redakcję „Zaczynu", że nonsensem logicznym jest takie zdanie:

„W takich momentach niebezpieczeństwo bezmyślnych „idei" i „misji" zamiast świadomości i odpowiedzialności oraz najbardziej ścisłego myślenia jest chyba wystarczająco widoczne".

Bo przecież posiadanie idei i planu określonego misji historycznej Polski w Europie środkowo - wschodniej, równa się właśnie „świadomości i odpowiedzialności", i jest skrajnem przeciwieństwem bezideowego, bezplanowego, przypadkowego podążania za ślepym nurtem wydarzeń.

Ale „Zaczyn" rehabilituje się w naszych oczach, gdy pisze, w zakończeniu artykułu:

„Idei uczucia przeciwstawiamy ideę intelektu. Potężny ruch umysłowy i realizowanie w myśl jego wskazań aktualnych potrzeb Państwa oto idea XX-go wieku, która raz na zawsze wykreśli z grona żyjących błędnych rycerzy i Don Kiszotów i zamieni ich w upiory dawno minionej przeszłości".

Za taki ustęp można wam darować, panowie, cały ten mistyczny, wyzuty z treści, oderwany od rzeczywistości „totalizm państwowy", ten koszmarny, sformalizowany automat. „Potężny ruch umysłowy i realizowanie w myśl jego wskazań aktualnych potrzeb Państwa"—przecież to żywcem „buchnięte" z „Zetu". Trudzimy się wszak od 5 lat, żeby zastrzyknąć Polsce „ruch umysłowy", żeby ją wyrwać z zaścianka i wyprowadzić na szerokie gościńce *postępu myśli* europejskiej, żeby ją uczynić dojrzałą do zrozumienia epokowych odkryć Hoene - Wrońskiego, prekursora nowoczesnej filozofji ustroju i ekonomiki matematycznej, mechaniki niebios i fizyki teoretycznej (co was mniej obchodzi), oraz pioniera motoryzacji, pierwszego wynalazcy czołgów (co prędzej trafi do waszych mózgów).

O zaczynowy don Kiszocie, „srodze ty oszukany"; myślałeś, że szarżujesz na zwykły wiatrak irracjonalnej „misji dziejowej", a skruszysz dzidę na „młynie poruszanym elektrycznością", na ścisłym systemie pojęć, opancerzonym matematyczną precyzją.

ef. ef.

Rozważania na temat metody

Klasa, naród, rasa czy jednostka

„W życiu zwycięża ten, który przyjmuje dla swych przyszłych dokonań realniejsze podstawy i uzyskuje wnikliwsze rozeznanie wszelkich zewnętrznych warunków“. Takie zdanie wyczytałem w jednej z angielskich powieści, której autora ani też tytułu dzisiaj nie pomnę. Utkwiło mi ono w pamięci, gdyż w jego treści dostrzegłem wyraźnie ostrze metody działania. Zagadnienie metody jest naprawdę frapujące i zaiste może ono ściągnąć ku sobie całą ludzką uwagę. Wewnątrz bowiem każdego człowieka tkwi rój takich oto pytań: Jak to zrobić? Jak dojść do tego celu? Jakim sposobem osiągnąć w życiu najlepsze wyniki? Pytania te są wieczną osnową duszy ludzkiej i jej troską codzienną. Tyle już sił w życiu poszło na marne; tyle wysiłków rozprysło się w przestrzeni niby oślepiające fajerwerki, nie pozostawiając po sobie nawet najmniejszego śladu. Brak metody je zgubił i rozproszył w przestrzeniach. Ileż to jaknajlepszych chęci przerodziło się w lawinę zła, przekleństw i zniszczenia. Nie było tam przemyślanej metody, któraby w nieskażonej czystości przeprowadziła zamierzenia do końca. Iluż to twórców zna ową mękę niewysłowioną, kiedy z mózgiem pełnym świetlanych wizji stali bezradnie przed szklaną zaporą, poza którą był świat i kosmos cały, — teren ludzkiego działania. Napróżno niecierpliwe ich ręce szukały sposobów, by wydostać się z tej matni i w świecie, pełnym życia, żywych konkretów, formować „nowy, wspaniały świat“. Błądzące ręce ślizgały się tylko po gładkich, zimnych powierzchniach. Nie wiedzieli oni „jak“. Innym znowu skrwawione ręce mdlały od wysiłku, w syzyfowym trudzie starali się posunąć choćby o krok naprzód. Próżny był ich wysiłek, bo oto w chwili wyzbycia się już resztek sił stwierdzali, że znajdują się w punkcie wyjścia. I znowu brak metody był powodem załamania.

Polska nie może ruszyć z miejsca do „śmiertelnego wyścigu”, nie może chociażby podążyć za oddalającymi się narodami. Niewiele już brakuje, aby nas zdystansowano o taką długość, której wyrównanie będzie zgoła niemożliwem. Zrywają się już wołania o nowe metody.

Znowu metody, metody, metody! Możnaby tak wołać ad infinitum, cytując przypadki, w których brak metody był powodem nieszczęść, niepowodzeń, katastrof. To jednak nie załatwia kwestji. Trzeba coś zrobić zasadniczego; trzeba przyjrzeć się zbliska istocie metody, znaleźć jej zasadnicze założenia i podać chociażby najprostsze jej określenie.

Mniema się powszechnie, że metoda jest wyłącznie kwestją indywidualną, to znaczy, że jest ona formą życia osobniczego, a więc zbiorem wszystkich cech działania jednostki, które czynią ją inną, odrębnem indywiduum. Nic dziwnego, że przy takim sformułowaniu i określeniu rzeczywistości własnego działania, rozbijano sobie głowy o zwały przeszkód, trwoniono wysiłki na marne.

Metoda nie jest tylko zbiorem cech indywidualnego działania; metoda jest czemś znacznie głębszem, czemś bardziej istotnem. Nasuwają się tutaj znowu słowa przytoczone na początku: „w życiu zwycięża ten, który przyjmuje dla swych przyszłych dokonań realniejsze podstawy i uzyskuje wnikliwsze rozeznanie wszelkich zewnętrznych warunków”.

Zwycięstwa nie należy rozumieć tylko jako unicestwienie istoty drugiej, lub też zepchnięcie na dalszy plan jednostek, grup, lub też sił wrogich. Zwycięstwa nie uzyskuje się przez pognębienie drugich i tem samem przez uzyskanie dysproporcji stanowisk i mechanicznej cechy wyższości. Zwycięstwem jest osiągnięcie takich wyników, poprzez które zwycięzca przechodzi w wyższe rejony rzeczywistości. Od pozytywności tych wyników w sensie ludzkim uzależniona jest świadomość zwycięstwa. Rozumieć to należy jak najszerzej, n. p. skoro człowiek bez żadnego gwałtu zdoła osiągnąć wyniki równające się rozwiązaniom problematów na płaszczyźnie narodu, to takie wyniki są zwycięstwem pełniejszem — niż te, które zostały uzyskane na tejże samej płaszczyźnie, ale okupione krwią ludzką.

Zwycięstwo w takim znaczeniu jest celem każdego człowieka, bowiem daje ono osiągnięcie jaknajwiększych możliwości. Nie jest ono jednak udziałem wszystkich ludzi. Nie dla wszystkich zapala się błyskawica świadomości, wieńcząca wysiłek, dokonanie. Dlaczego tak jest? Przecież każdy człowiek powinien mieć równe szanse w tym względzie. Słusznie! Właśnie w tej chwili dotykamy jądra rzeczy: chodzi bowiem tutaj o metody. Nie należy zapominać, że osiągnięcie wyników jest uwarunkowane metodą postępowania; metoda zaś — przyjęciem możliwie najrealniejszych podstaw i wnikliwych rozeznań warunków zewnętrznych. Metoda zatem postuluje konieczność analizy tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej — refleksji na temat podstaw wyjściowych, poznań i zwartościowań wszelkich warunków możliwego działania. Zestawienie tych warunków w jednym systemacie jest równoznaczne z osądzeniem ich i nadaniem im wartości. W cytowanym zdaniu nie mieści się jednak sam akt dokonania, czyli przejście od stanu A do stanu B. Stan A jest tutaj podstawą wyjściową, inaczej: systematem zestawionych wartości i ocen, inaczej: wycechowaniem realności elementów i warunków niezbędnych dla dopełnienia treści aktu, — to jest wysiłku zasadniczego sprowadzającego do jedności podstawowej. Stan B jest celem dokonania i w samym akcie nabiera on cech tożsamości ze stanem A tworząc przez to nową rzeczywistość; jest nią *osobowość człowieka*.

Metoda, jako sposób działania, ma naturalnie w swoim rozwinięciu pewien porządek następczy, i tak wstępnym aktem jej jest rozeznanie elementów i warunków. Winny one być ujęte w swej najczystszej formie i najgłębszej treści, od tego bowiem zależy realność podstaw metody. Po rozeznaniu elementów i warunków, następuje ich ocena i zwartościowanie w widoku samego celu. Jest to akt neutralizacji wszystkich tych czynników w jedność kompozycyjną, uzależnioną od celu. Umiejscowienie poszczególnych elementów i ich zestawienie z celem stanowi o ich wartości, zaś określenie tego momentu jest oceną. Jest to zarazem akt poszerzenia świadomości, bowiem neutralizacja mogła się dokonać tylko na jej płaszczyźnie. Ten aspekt metody jest jej częścią spekulatywną. Cały proceder naszkicowany powyżej odbywa się w trybie jakgdyby biernym. W świecie faktów nic się jeszcze nie dzieje, jeno w podmiocie odbywa się wysiłek zestawiający to co jest (systemat zneutralizowany) z tem co powinno być (systemat zneutralizowany stożsamiony z celem). W tejże właśnie chwili wyrasta od strony świadomości *zasada własności* jako substrat mającego nastąpić wysiłku stożsamiającego te dwie przeciwstawności — oraz wysiłku reaktywnego włączającego ową tożsamość przez zasadę własności w osobowość człowieka. Przez fakt ten zyskała ona zakres i potęgę *wysiłku podstawowego*, zaspokojony przytem został pęd ku nieśmiertelności osobowej człowieka.

Teraz dopiero akt został zakończony. Okazuje się, że wyłoniona metoda pokrywa się dokładnie z treścią wnętrzną człowieka. Możnaby powiedzieć, że poznanie samego siebie jest zarazem wytworzeniem swej najistotniejszej i najwłaściwszej metody działania. Nie należy przypuszczać jednak, że takie stwierdzenie jest podniesieniem do godności zasady tego co na początku uważałem za niewłaściwe, a mianowicie mniemania, że metoda jest zbiorem cech indywidualnego działania. Przedewszystkiem na tej płaszczyźnie, którą przyjąłem obecnie dla metody, indywidualność jest tożsama z powszechnością, czyli: subjekt jest tutaj tożsamy z objektem, a więc metoda będąca formą tejże treści jest nietylko *subjektywną*, lecz i w tymże samym stopniu *objektywną*. W rzeczy samej metody w swoich przejawach noszą cechy subjektywne, a w swoich założeniach i zasadach są one powszechne, objektywne.

Samem jądrem metody, a zarazem istotą osobowości człowieka, jest akt przejścia od stanu A do stanu B. Zajmę się nim w następnym artykule, tutaj chcę tylko zaznaczyć, że jest to proces zdążający poprzez wartościowanie, to jest zestawienie elementów będących dotychczas w stadjum zupełnego wyodrębnienia (w czystym abstrakcie), a które przez fakt zestosunkowania nabierają znaczenia, istotliwości (wartości), dalej, poprzez zasadę *własnościowania*, czyli dostrzeżenie w tym zestawieniu własnego wysiłku, własnej roli i zasady, — oraz poprzez wchłonięcie i ujęcie w świadomość człowieka produktu neutralizacji, a w końcu, poprzez umieszczenie tegoż na podstawach własnych, w akcie rozbudowy osobowości własnej, to jest w scalaniu tychże zdobyczy w istniejącą postawę wyjściową — oto w zarysie akt przejścia od stanu A do stanu B, a zarazem jądro osobowości człowieka i jego adekwatna metoda.

Metoda ta, według poprzedniego twierdzenia, ma znaczenie powszechne, a ściślej: tę cechę posiadają jej założenia. W zastosowaniu do faktów zyskuje ona dodatkowo cechę subjektywną.

Przeprowadźmy próbę poszukiwania realnych podstaw do metod działania w dzisiejszej rzeczywistości polskiej.

Trapiącem dziś ludzkość zagadnieniem jest problem — co przyjąć za podstawę wyjściową i kryterjum: klasę, rasę, naród, czy człowieka. Na tle tego zasadniczego konfliktu zdołały się już wytworzyć w ciągu dziejów koncepcje zawarte w doktrynach, badaniach naukowych i dogmatach objawionych. I tak, komunizm przyjął za podstawę wyjściową klasę — nacjonalizm typu hitlerowskiego rasę — nacjonalizm typu polskiego naród — a doktryna katolicka personalizm, osobowość. Zbadajmy teraz, czy we wszystkich tych podstawach tkwi pełny realizm, dostateczny aby doktrynom na nich opartym prorokować zwycięstwo. Realizm rozumiem tutaj jako adekwatność teoryj z praktyką, t.zn. że ta doktryna jest realną, której dedukcje spekulatywne w zupełności pokrywają się z badaniami naukowymi, doświadczeniem, indukcją badawczą, z istotą rzeczywistości. Doktryna spełniająca te warunki zostanie uznana za najrealniejszą, a tem samem za najwłaściwszą podstawę dla działań tak jednostek, jakoteż i grup. Ona też tylko dostarczyć nam może najwłaściwszych elementów dla metody, spełniającej nasze oczekiwania i dążności.

Klasa

Czy istnieje dzisiaj jakaś definicja klasy, którаby naprawdę odpowiadała rzeczywistości? Zdaje mi się, że nie.

Klasa w pojęciu marksistowskim była początkowo formą uspołecznionej materji, a później poprzez różne interpretacje i modyfikacje stała się ramą dla „świata pracy“. Nie załatwiono przez to bynajmniej palącej potrzeby adekwacji pomiędzy pojęciem klasy jako „świata pracy“, a rzeczywistością społeczną, bowiem w tej interpretacji każdy człowiek winien znaleźć swoje miejsce, każdy przecież pracuje: ten rękoma, inny mózgiem, ów rzuca w wir pracy kapitał własnych talentów, inny znowu zebrany kapitał pieniężny. Jednym słowem klasa taka musiałaby stać się ludzkością, a tymczasem pojęcie klasy wymaga koniecznie istnienia innych podobnych formacyj społecznych.

„Klasa“ (pojęcie marksowskie) powstała jako przeciwstawienie „kapitałowi“, to jest grupie ludzi wytwarzających pewne formy bytowania i współstosunków społecznych. Zdawałoby się, że skoro znika przyczyna, winien zniknąć i skutek. U teoretyków klasy tak nie jest.

Kapitalizm w swej formie demo - liberalnej zanika w zastraszającem tempie, ustępując miejsca kapitalizmowi państwowemu. Państwo jest przecież wytworem narodu, lub społeczności, zatem każdy obywatel państwa jest niejako udziałowcem w dochodach i wydatkach państwowych, inaczej: jest w pewnym sensie kapitalistą. Marksizmowi Nemezis dziejowa wyrządziła psiego figla. — Walczył on z kapitalizmem grup, a rozciągnął tę formę i treść na całe narody i społeczeństwa. Rosja pierwsza wprowadziła kapitalizm państwowy, ergo tedy każdy „towarzysz“ z Z. S. S. R. powinien był właściwie stać się w równym stopniu pracodawcą, jak też pracobiorcą. Powinien był, ale się nie stał, gdyż w tym „raju“ ludzkim odczłowieczono zupełnie klasę i zostawiono same tylko ramy, w naiwnym mniemaniu, że jest to naprawdę jakiś konkret działający.

„Klasa“ jest raczej metodą klasyfikowania i formą pewnych skrótów myślowych— aniżeli pojęciem odpowiadającem rzeczywistości.

Po dokładnym przyjrzeniu się wszystkim społecznościom zauważyć można stały ruch od dołu ku górze. Warstwy od najniższych przechodzą stopniowo coraz wyżej, na szczeble jeszcze wczoraj dla nich niedosiężne. Klasa jest tutaj raczej tylko formą, poprzez którą przechodzą rzesze ludzkie, dążące ustawicznym ruchem ku górze. Klasa zaś jako istność konkretna nie da się w społeczeństwach zdecydowanie wyodrębnić; to znaczy, że nie można oznaczyć, że n. p. stąd zaczyna się klasa robotnicza, a tutaj się kończy.

Każda partja, pragnąca reprezentować tak zwany „świat pracy“ zdaje sobie z tego dokładnie sprawę; wie jak trudno jest znaleźć uzasadnienie dla połączenia się jej elementów na jednej płaszczyźnie, nie mówiąc już o jednych ramach. Ten kto zetknął się z ruchem socjalistycznym, czy też komunistycznym, wie jak płynne są w nich kryterja klasowe i jak sprzeczne nieraz są w nich dążenia i interesy. Najlepszym tego dowodem są rewolucje, w których zazwyczaj giną ci, którzy pierwsi wzniecili ogień buntu w imię uciemiężonych i pokrzywdzonych. Giną oni właśnie z rąk tych, o których byt, wolność, równość i braterstwo walczyli.

Sprzeczność interesów wewnątrz jednej klasy dostrzec można w mnogości partyj, związków, federacyj, powstających na terenie jednej tylko klasy robotniczej i w jednym tylko świecie pracy.

Klasa nie odpowiada żadnej dzisiejszej chociażby nawpół konkretnej rzeczywistości, jest ona jedynie *kategorją myślową*, bytuje w sferze rozsądkowej i potrzebna jest dla ogólnikowych rozróżnień i klasyfikacji uwarstwowień społecznych. Pojęcie „klasa“ nie ma w rzeczywistości żadnego konkretnego odpowiednika, i jej realność jako podstawy spada do zera; — a skoro tak, to nie może być ona brana pod uwagę jako podstawa wyjściowa metody.

Tak też i jest w rzeczywistości. Tropikalna temperatura wewnętrznych wrzeń we wszystkich dzisiejszych społecznościach, powoduje szybkie dojrzewanie wszelkich eksperymentów. Jesteśmy już dzisiaj w możności stwierdzić, że metody oparte na pojęciach klasowych nie dają się w swym rozwinięciu logicznym i genetycznym zastosować do konkretu. Zastosowane zaś dają w wyniku społecznym chaos i pomieszanie pojęć.

Rasa

Drugiem pojęciem pretendującym dzisiaj do konkretności jest rasa. Nie neguję, że rasa ma swój odpowiednik w rzeczywistości, ale jest on jeszcze dzisiaj niedostatecznie wyodrębniony, nie sprecyzowany, ani nawet naukowo gruntownie zbadany. Metody naukowe, jakiemi posługują się teorje rasy są jeszcze dzisiaj tak sprzeczne pomiędzy sobą i tak różnorodne, że mowa o zasadach rasowych, ich przejawach i ciągłości w świetle naukowem i rzeczywistem jest conajmniej przewczesna.

Teorje ras dolichocefalnych, brachycefalnych, wyodrębniające rasy według pigmentacji, koloru włosów, budowy czaszek, wzrostu i t. p., są jeszcze naprawdę w powijakach, nie widać w nich nawet wyczucia zasad, któreby stanowiły o jedności tych ras, ich celowości i metodach w dziedziczeniu i przekazywaniu swych wartości.

Teorje stawiające n. p. rasę nordycką ponad innemi są jedynie uroszczeniami pewnych ambicyj rasowych i badawczych jednostek, a nie objektywnemi, naukowemi, stwierdzeniami. Koncepcyj, któreby wskazywały na konstytucję psychiki rasowej, jej założeń i znaczenia w ludzkiej historji, poza Wrońskim i to w ujęciu jedynie dedukcyjnem, niema jeszcze zupełnie. Gobineau, Günther, Chamberlain, Wolktman, Backmann, Rosenberg, to badacze, którzy pomimo swej skrupulatności naukowej, są tylko fantastami, wnoszącymi może pewne nowe pomysły i wartości, ale w żadnym wypadku jakoweś kryterja objektywne.

O ile klasa była kategorją rozsądkową, stosowaną do nawarstwowień społecznych, o tyle rasa jest tylko odczuciem, a nawet tylko mgławicowem przeczuciem łączności i odrębności ludzkich w przestrzeniach i generacjach.

Rasa więc, jak z tego widać, niema jeszcze konkretnego odpowiednika, na którymby aktywność historyczna mogła się oprzeć.

Rozwijanie więc metody historycznego działania na tak mglistej i niesprecyzowanej jeszcze podstawie musi z konieczności doprowadzić do niechybnych błędów i absurdów. Eksperyment niemiecki zaczyna już dojrzewać. Zaczekajmy więc; niedługo wyda owoce.

Naród

Z dotychczas omawianych konkretów historji o charakterze zbiorowym jedynie naród ma najmocniej obrysowane kontury i zaczyna już nawet przybierać realne kształty. Nie jest on jednak jeszcze nigdzie zupełną organiczną jednością, nie jest jeszcze *podmiotem historji*. Istnieją wprawdzie już kapitalne określenia narodu, jak n. p. „Naród to myśl Boża“, „Naród to idea wiążąca“, „Naród to obowiązek i posłannictwo“, — ale nie zdołały one jeszcze wsiąknąć w substraty narodowe i uczynić z nich monolitów, scalonych osobowości narodowych.

Narody dzisiejsze to — pomimo wszystko — sumy jednostek, w niektórych nawet wypadkach ilości podniesione do pewnych potęg, ale niema w nich jeszcze wyraźnego elementu *jakości* i dynamizującego wysiłku scalającego, powstającego w wyniku heroicznej, poświęcającej się, planowej i posłanniczej pracy. Egoizm i żądza użycia, pogoń za trywialnym interesem i maksyma: carpe diem, złe obyczaje i źli ludzie działają jeszcze potężnie odśrodkowo w narodach, niszcząc pojedyncze wysiłki i poświęcenia.

Narody nie są jeszcze dziś takiemi realjami, w których teorje odpowiadałyby rzeczywistościom. Niema jeszcze — jak powiedziałem — osobowości narodowych, a te tylko mogą czerpać ze swych podstaw potężne energje, potencjały rozwoju i rozbudowy.

To co jest obecnie, w najlepszym wypadku jest tylko „ilością” o sfanatyzowanej wyobraźni i emocjonalnych reakcjach, wzrastających w krótkim przeciągu czasu, ale też równie szybko stygnących — lub też mechaniczną sumą, działającą na zasadzie bezwładu.

Metoda oparta na takich podstawach nie może jeszcze dzisiaj dać zadawalających rezultatów i najwłaściwszych rozwiązań. Powstać tu mogą i nawet powstają duże błędy i niedociągnięcia, które w przyszłości mogą się zemścić na ludzkości dotkliwie.

Człowiek

Człowiek, pojęty po katolicku, to tylko naczynie wypełnione przez *łaskę Bożą*, w którem Bóg się objawia i które Bóg usynawia. Teorje zaś naukowe czynią z człowieka mechanizm biologiczno - psychiczny, bez żadnego kosmicznego znaczenia.

W obu wypadkach teorje nie odpowiadają rzeczywistości i to, o dziwo! nietylko nie przeceniają one rzeczywistości, ale wręcz przeciwnie, nie doceniają jej. Tamte teorje wyprzedzały znacznie rzeczywistość, tutaj teorja choruje na pewnego rodzaju mikromanję, boi się śmiesznych stwierdzeń. Nie docenia się *zasady ludzkiej*, działań człowieka i jego znaczenia w kosmosie.

Człowiek przecież w ciągu swej historji błądził i nawracał, niszczył i budował w pocie czoła, szukał żarliwie prawdy, poznawał rzeczywistość, wgłębiał się w nią, rozbudowywał własną świadomość, wyciągał z doświadczeń i dedukcyj wnioski, ucieleśniał je, komponował nowe rzeczywistości, organizował, wprowadzał nowy ład w przyrodzie, w krwi i w męce wznosił kosmos nowy — kosmos moralny — wynajdywał, odkrywał elementy zasadnicze rzeczywistości, neutralizował je w jedności, rozbudowywał swą osobowość dążąc do nieskończoności, w pokucie żarliwej twórczości przenikał wieczność, szukając swej nieśmiertelności, — aby dopełnić rzeczywistość wszechświata i odkupić swój upadek.

Człowiek to nie mechanizm, chociażby najbardziej skomplikowany, mający swój impuls zewnątrz siebie. Człowiek to nietylko naczynie Boże, ale również *własna zasługa*, własny twór, w męce i wysiłku wzniesiony. Człowiek to celowość sama w sobie. Nie jest on jak Bóg wolnym, ani jak kosmos koniecznym — jest on celowym, niosącym w swych rękach swoje własne możliwości i swój wysiłek ku nieśmiertelności.

Człowiek nietylko potwierdza w całej rozciągłości dotychczasowe teorje o nim, ale je nawet wyprzedza. Twórcy religij, wielcy myśliciele, wodzowie, wieszcze i prorocy wypełniali nietylko ramy przygotowane w teorji dla człowieka, ale je przepełniali i dźwigali się na zawrotne wysokości. Nie wszyscy coprawda dosięgli najwyższej miary, były to tylko wyjątkowe jednostki, ale pomimo to człowiek, jako pojęcie, jako istność, dawno osiągnął postawione mu zadanie, i już idzie coraz dalej. W ciągu działania, wytwarzania i pracy zdobywa on, wraz ze świadomością, coraz szersze kręgi rzeczywistości wnikające weń i w jego podstawy osobowe.

Jest on dzisiaj jedyną konkretnością, której teorja i rzeczywistość jednoczą się już w neutralizacji, a nawet w tożsamości podstawowej.

Oto jedyna zasadnicza podstawa, na której oprzeć można metodę społecznego działania, która może dać zwycięstwo zasadzie konstrukcji wszechświata, utożsamić się z istotą człowieka i wszechrzeczy.

Stanisław Wachal.

Czy nowa linia podziału?

W nr. 6-tym „Polityki” (dawniej „Buntu Młodych”), z 10.III. b. r. znajdujemy doskonały artykuł Andrzeja Jałowieckiego p. t. „Telegramy”. Autor jego zastanawia się nad niebezpiecznemi następstwami nowego podziału społeczeństwa, jaki wyniknąć musi z nieoględnych w formie akcesów organizacyj społecznych różnego typu do nowego obozu.

„Jako obóz polityczny będzie obóz pułk. Koca jednoczyć obywateli pionowo, ale i dzielić ich, przekrojem pionowym poprzez rozmaite płaszczyzny poziome wspólnoty interesów, zainteresowań, ideałów pozapolitycznych.

W takich warunkach, z punktu widzenia spoistości społeczeństwa dzieje się najlepiej wtedy, o ile pionowy podział polityczny społeczeństwa nie przeszkadza istnieniu rozmaitych podziałów poziomych, kiedy przynależność organizacyjna do różnych obozów politycznych nie przeszkadza współpracy w ramach organizacyj i stowarzyszeń organizujących inne, niż polityczne, zainteresowania i interesy obywateli”.

Tymczasem, od momentu ogłoszenia deklaracji płk. Koca, obserwujemy dziwne zjawisko masowych zgłoszeń organizacyj pozapolitycznych do O. Z. N. Z powodzi telegramów tych organizacyj, autor wybiera dwa: od Zw. Straży Pożarnych R. P. i od Organizacji Przysp. Wojsk. Kobiet, jako punkt wyjścia swych rozważań.

„Związek Straży Pożarnych R. P. jest związkiem zawodowym. Związek Straży Pożarnych, jako związek zawodowy, ma na celu rozwiązywanie ogólnych, wszystkie lub większość straży pożarnych w Polsce dotyczących zagadnień zawodowych. Jest nie polityczną, nie ideową, lecz rzeczową organizacją społeczną. Organizuje stowarzyszenia, zawodowe lub ochotnicze, które istnieją poto, by przychodzić z pomocą zagrożonym przez pożary bliźnim. Przysposobienie Wojskowe Kobiet do Obrony Kraju jest ideowym związkiem celowym o ściśle wyznaczonym zadaniu: przygotowania obywatelek kraju do jego obrony na wypadek wojny. Z natury rzeczy przysposobienie wojskowe dążyć winno do przygotowania możliwie największej liczby kobiet do obrony kraju i słusznem jest, jeżeli na swoich członków przyjmuje wszystkich, którzy niezależnie od politycznych przekonań, świadomie i z przekonaniem pragną, na wypadek wojny, kraju bronić”.

Tymczasem stowarzyszenia te przyjmują naraz jedną ideologję polityczną, mieszczącą w sobie kwestje społeczno - ekonomiczne, ogólnopaństwowe zagadnienia polityki mniejszościowej, wytyczne polityki zagranicznej i tp . Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby stowarzyszenie filatelistów nie dopuściło do członkostwa „ludzi wyznających teorję Marksa, niezależnie od ich kwalifikacyj, jako zbieraczy marek pocztowych”. Skutek będzie niewątpliwy:

„Jeżeli znajdzie się większa liczba filatelistów o przekonaniach marksowskich, którzy do istniejącego stowarzyszenia przyjęci być nie mogą — powstanie stowarzyszenie filatelistów - marksowców Filateliści podzielą się nie na grupy, zależne od sposobu zbierania marek pocztowych, lecz na grupy zależne od zupełnie niefilatelistycznych ideałów. Jeżeli kilkaset stowarzyszeń o celach rzeczowych i pozapolitycznych postąpi podobnie do naszego stowarzyszenia filatelistów — wojna polityczna w kraju staje się nieunikniona. Przekrój pionowy wykluczył istnienie obejmujących całość społeczeństwa płaszczyzn poziomych”...

W konsekwencji tego wszystkiego „albo środkami administracyjnymi zabroni się tworzenia dwóch straży pożarnych w miasteczkach i wsiach i dwóch stowarzyszeń kształcących obywatelki na wypadek konieczności obrony kraju, wykluczając wtedy pewną liczbę ludzi pragnących przychodzić z pomocą bliźnim, zagrożonym pożarem i pragnącym uczestniczyć w obronie kraju w sposób skuteczny, albo po wsiach i miasteczkach będziemy mieli dwie, trzy, lub cztery straże pożarne, dwa, trzy lub cztery związki przysposobienia wojskowego kobiet...

„Od przytoczonych telegramów pójdzie linja podziału. Gromadząc bardzo wielu pod jednym sztandarem politycznym, dzielić będzie również bardzo wielu na tych płaszczyznach, gdzie taki podział jest niepotrzebny, zgubny, dla celów samych płaszczyzn. Od tych telegramów idzie jednoczenie społeczeństwa, ile idzie i jego rozdział. Te telegramy mówią dzisiaj, że w niedalekiej przyszłości będzie musiała albo nastąpić chwila, kiedy wyrzuci się poza nawias życia tych, którzy się politycznie z czemś nie godzą, niezależnie od ich kwalifikacyj rzeczowych, albo nastąpić będzie musiała walka dwóch zorganizowanych, lub może trzech, czy czterech zorgànizowanych odrębnych społeczeństw, posiadających nietylko odrębne organizacje polityczne, lecz odrębne organizacje społeczne, gospodarcze, kulturalne, odrębne kluby zbieraczy znaczków i odrębne może towarzyskie, może rodzinne związki...”

Złe w tej Rzeczypospolitej młodzieży chowanie

(Mowa niewygłoszona w Senacie 10 marca)

W „Merkuryuszu Polskim” z dn. 4.III b. r. ukazał się poniższy artykuł, który ze względu na doniosłość zagadnienia prawie w całości przedrukowujemy.

Dnia 10 marca Senat Rzeczypospolitej rozpatrywał, przed ostatecznem uchwaleniem, budżet Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nie mamy, niestety, swego przedstawiciela w tej Wysokiej Izbie i niema możności powiadomienia opinji publicznej, Rządu, wreszcie członków przedstawicielstwa narodowego — czem jest w istocie ministerstwo oświaty w tym kraju. Mimo to jednak, w najwyższym interesie Narodu, trzeba to uczynić. Ogłaszamy tedy mowę, która *powinna* była być wygłoszona w Senacie, przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Oświaty, a więc instytucji, decydującej o przyszłości naszego państwa; instytucji, o której jeden z najgłębszych naszych myślicieli wypowiedział te powszechnie znane słowa: TAKIE BĘDĄ RZECZYPOSPOLITE, JAKIE ICH MŁODZIEŻY CHOWANIE.

Redakcja „Merkuryusza”.

Wysoka Izbo!

W deklaracji ideowo - politycznej nowego obozu tworzonego przez płk. Koca czytamy w punkcie 8-mym:

„Kultura polska w nauce, sztuce i obyczaju winna być wykładnikiem genjuszu narodowego.

„Nauka polska, czerpiąc z ogólno - ludzkiego skarbca i dodając do niego swe zdobycze, powinna znaleźć swój bezpośredni, przyrodzony cel w poszukiwaniu i dostarczaniu dla narodu i państwa nowych elementów bogactwa i siły...

„Literatura i sztuka mogą wypełnić swe wysokie posłannictwo tylko w oparciu o właściwości i potrzeby ducha polskiego...

Na innem miejscu, w punkcie 5-tym, czytamy znowu co następuje:

„Komunizm w założeniach swych, celach i metodach, jest tak obcy duchowi polskiemu, że w Polsce niema dla niego miejsca. Polska komunistyczna przestałaby być Polską. Przelewaliśmy krew za Polskę, by była wolną i by mogła rozwijać własną kulturę, jako wyraz polskiego ducha i polskiej woli“.

Rzeczywistość

Wysoka Izbo!

Słowa powyższe wydają mi się być początkiem nowego rozdziału w historji Polski odrodzonej i jej kultury duchowej. Słowa te zbyt są ważkie, aby ciężarem swym nie miały zaważyć na szali rzeczywistości polskiej. Ja przynajmniej, jako przedstawiciel kombatantów, co o taką właśnie Polskę walczyli, co niepodległość Polski pojmowali szeroko nietylko w sensie materjalnym, lecz i duchowym, biorę to oświadczenie deklaracji płk. Koca tak poważnie, jak na to zasługuje.

I dlatego pozwolę sobie mniemać, że w momencie dyskusji nad budżetem polskiego M. O. i W. R., jest moim obowiązkiem Polaka i obywatela zadać pytanie, jak wygląda w świetle zacytowanych postulatów ideowych, ogólna polityka pedagogiczna i kulturalna tego ministerstwa Anno Domini 1937. I mam poważne obawy, że odpowiedź będzie negatywna.

Sprawa Z. N. P.

Od szeregu miesięcy całe patrjotyczne społeczeństwo alarmowane jest sprawą stosunków w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Nie będę roztrząsał szczegółów, znane są dostatecznie. Wystarczy stwierdzić, że największa w kraju organizacja nauczycielska, zrzeszająca przeszło 50 tysięcy ludzi, przeważnie dobrych patrjotów, stała się wprost prywatnym folwarkiem garstki, przeciwko której podnoszone są zarzuty: trwonienie funduszów publicznych, popełniania przestępstw na tle seksualnem i t. p. Dwie najwyższe instancje sądowe potępiły prowodyrów ZNP za uprawianie propagandy bolszewickiej.

A w ministerstwie oświaty, władzy nadzorczej Z. N. P. — cisza i błogi spokój. Ministerstwo oświaty nie słyszy fali oburzenia w całem społeczeństwie, nie przejmuje się setkami protestów, podpisanych przez dziesiątki tysięcy ojców i matek, zasypujących ministerstwo listami z całego kraju! Ministerstwo ma nawet watę w uszach na wyroki sądowe, ferowane przecież w Imieniu Rzeczypospolitej! Rzeczpospolita ustami sądów wskazuje na prowodyrów ZNP, jako agentów wroga — a ministerstwo oświaty... popiera ZNP.

Tak jest, Wysoka Izbo! Z całym poczuciem odpowiedzialności muszę tu sformułować zarzut, że prowodyrzy ZNP cieszą się poparciem ministerstwa!

Poparcie

Pamiętamy przecież niedwuznaczną rolę przedstawiciela ministerstwa oświaty na procesie „Płomyka”. Świadek ten, we wszystkich, groźniejszych dla ZNP miejscach, zasłaniał się wciąż „tajemnicą urzędową”, a gdy wreszcie sąd zdołał zeń wycisnąć kilka skąpych zeznań — wyszło na jaw, że ministerstwo oświaty ustosunkowało się do bolszewickiego numeru „Płomyka” w sposób całkowicie przychylny. Nie wyciągnięto z tego faktu żadnych konsekwencyj, nie udzielono nawet najmniejszej nagany!

Lecz ministerstwo oświaty nietylko tuszowało sprawę „Płomyka”. Klika skomunizowanych prowodyrów ZNP rządzi się w ministerstwie, w sposób, który można nazwać tylko dyktatorskim. Zwłaszcza na dobór sił nauczycielskich, na translokacje, wogóle na sprawy personalne nauczycieli prowodyrzy ZNP mają wpływ decydujący. Wpływem tym szantażują poprostu swych członków i znane są wypadki, że członkom ZNP, protestującym przeciwko bolszewizowaniu organizacji, prowodyrzy ZNP wręcz grozili usunięciem z posad!

I protektorat

Innym faktem, notorycznie znanym w terenie, jest protektorat inspektorów i wizytatorów szkolnych nad robotą prowodyrów ZNP. Niemal sto procent inspektorów — to żarliwi opiekunowie czerwonej kliki, rządzącej w ZNP.

Jak długo ma trwać ten stan rzeczy? Jakichż jeszcze znaków na ziemi czeka ministerstwo oświaty, aby wyciągnąć konsekwencje w stosunku do ZNP — awangardy tej samej siły, o której mówił pułkownik Koc, że odrzuciliśmy ją na polach bitew? Czy głos instancji potępiającej prowodyrów ZNP, w imieniu Rzeczypospolitej, to mało? Czy ministerstwo czeka na chwilę, kiedy panowie Machowscy, Frysze i Mandelbaumy na czele zbrojnych zastępów ruszą ku Zamkowi, aby zawiesić na nim czerwoną chorągiew z młotem i sierpem?

Lecz sprawa prowodyrów ZNP to zaledwie drobny fragment stosunków, panujących w tej prawdziwie anachronicznej instytucji, jaką jest w obecnej atmosferze ideowej nasze ministerstwo oświaty.

Uniwersytety

Cóż się dzieje na uniwersytetach?

Gdyby bezstronny obserwator miał jednem słowem określić stan, panujący dziś na uniwersytetach polskich, musiałby użyć terminu „walka”. Na uniwersytetach panuje nieustanne wrzenie wojenne. Lecz któż to i z kim walczy?

Polskie ministerstwo oświaty walczy z młodzieżą polską! Już samo to zestawienie każdego Polaka dławi za gardło! Jakto? To zamiast uczyć i wychowywać młodzież ministerstwo oświaty toczy z nią zażartą, a tak jałową walkę? Poco? Cui bono? W czyim interesie?

W czyim interesie, pytam, leży anarchizowanie życia na uniwersytetach? Nie jestem antysemitą, wszelka nienawiść rasowa jest mi obca, ale bynajmniej nie ukrywam, że jestem Polakiem i bliższy mi jest interes polski, niż żydowski. I jeśli młodzież polska ma miesiącami tracić czas, przeznaczony na naukę, jeśli miesiącami mają być zamknięte uniwersytety, dlatego tylko, że studentom narodowości żydowskiej nie podoba się ustąpić większości, — to oświadczam, że ten stan rzeczy uważam za niedopuszczalne poniewieranie interesu polskiego! Jako Polak, jako przedstawiciel kombatantów, czyli tych, którzy krwią własną pieczętowali służbę Polsce, wreszcie, jako senator Rzeczypospolitej Polskiej protestuję przeciwko toczeniu przez polskie ministerstwo walki z polską młodzieżą!

Rezultat

I do czegóż wreszcie doprowadzi ta walka? Każdy, komu nieobca jest znajomość nastrojów, panujących wśród polskiej młodzieży uniwersyteckiej — wie, że młodzież nie ustąpi! Można się temu dziwić, można to z tego, czy innego punktu krytykować — ale fakt pozostaje faktem! Młodzież od swych postulatów nie ustąpi. Do czegóż więc wreszcie dojdzie, jeśli i ministerstwo ze swego wrogiego stanowiska wobec młodzieży nie ustąpi?

Łatwo przewidzieć. I ponieważ łatwo przewidzieć, pozwolę sobie udzielić panu ministrowi oświaty rady; niech odrazu releguje z uniwersytetów polskich całą młodzież polską. Przynajmniej będzie konsekwentny, a krajowi oszczędzi wstrząsów i nieustannych, gorszących awantur. Młodzież polska odrazu wyjedzie na uniwersytety do Belgji, Francji, Anglji, Niemiec i przynajmniej będzie wiadomo, czego się trzymać.

Ławki i demokracja

A teraz zapytam, czy istotnie żądanie młodzieży, żądanie oddzielnych ławek jest sprzeczne z zasadami demokratycznemi, jak to się dziś tyle mówi...

Przecież właśnie zasady demokratyczne dają obywatelom prawo wolnego doboru sobie towarzystwa! Jeśli młodzież polska chce siedzieć osobno, to w czem to na miłość Boską, jest sprzeczne z zasadami demokratycznemi? Nawet żądanie osobnych uniwersytetów dla polaków nie naruszałoby w niczem ideałów demokratycznych, a przeciwnie sprzyjałoby im najpełniej — a cóż dopiero żądanie oddzielnych miejsc? W czem pytam, naruszony jest ideał demokracji widokiem ławki, na której rzędem siedzą sami blondyni? I w jaki sposób ideał demokracji zabezpieczony jest przekładańcem z brunetami?...

Uczeni

Ministerstwo walczy nietylko z młodzieżą, ale i z każdym uczonym, niezależnym od pseudo - naukowych prądów liberalnych XIX wieku. Jest to jednym z tragicznych węzłów gordyjskich organizacji nauki i kultury w Polsce, że nauka, a w szczególności oświata publiczna, a w pierwszym rzędzie oświata uniwersytecka jest u nas w smutnym stanie. Ludzi prawdziwej nauki, ludzi o umysłach twórczych i głębokich, uczonych w rozumieniu europejskim na naszych katedrach można policzyć na palcach! Katedry poobsadzane są miernotami, a prawdziwych uczonych pomija się systematycznie.

To, czego widownią był ostatni zjazd filozoficzny w Krakowie, nasuwa o przyszłości nauki polskiej wnioski poprostu ponure. Członkowie kongresu zmuszeni byli wysłuchiwać referatów na poziomie kompromitująco niskim.

Historja

Oczywiście, historja naszych uniwersytetów była taka, że innego rezultatu trudno się było spodziewać. W przeciągu dwu lat stworzyliśmy szereg wyższych uczelni, rozporządzając tylko materjałem profesorskim dwu uniwersytetów: lwowskiego i krakowskiego.

Wiadomo, że z nielicznemi wyjątkami, wykładali tam uczeni klasy raczej średniej i to w najlepszym, zeszłowiecznym okresie tych uniwersytetów...

Świadectwo

Otwieram wspomnienia p. Władysława Studnickiego p. t. „Z przeżyć i walk”. Cóż pisze o uniwersytetach, które stały się później pepinjerą wyższych zakładów naukowych w Polsce odrodzonej?

— Z niedoszłych biurokratów — pisze Studnicki — zrobiono pierwszych profesorów uniwersytetu. Większość ich nie posiadała prac naukowych, wzbogacających czemś cennem naukę polską. Gdy wyjątkowo trafił się człowiek zdolniejszy — taki np. Leon Biliński — zostawał wkrótce posłem, ministrem i katedra po nim była opróżniona. Ludzie małych zdolności, słabej indywidualności mają lęk i niechęć do indywidualności wybitniejszych, do umysłów bardziej twórczych. Podobny szuka podobnego, mało zdolny szuka słabszego od siebie. Profesor lwowski pragnął mieć docenta, któryby mu nie wszedł w drogę, uznawał jego wielkość i nie zaćmił go powodzeniem prelegenta, lub twórczością uczonego.

Sztuczny dobór szarzyzny

— Oba uniwersytety galicyjskie — pisze o tej sprawie jeden z tygodników warszawskich — były doborem, sztucznym doborem szarzyzny umysłowej...

Podczas wojny był to już prawdziwy dramat. Najgorsze metody wzajemnej asekuracji drogą intrygi, podkopu i autoreklamy legły się na uniwersytetach galicyjskich. To nie był świat uczonych. To była cicha, sprzysiężona mafja, solidarnie trzymająca się razem, ze strachu przed utratą stanowiska.

To kłębowisko intryg odziedziczyliśmy z odzyskaniem Niepodległości...

Na obstalunek

Bowiem, jak wspomniano wyżej. uniwersytety w Polsce zakładano na obstalunek. Wyrzuciliśmy Niemców z Poznania — prestiż wymagał, aby założyć uniwersytet. Posunął się front za Wilno — zakładamy uniwersytet.

Skąd było brać profesorów na tyle katedr? Czy można było sobie pozwolić na europejski zbytek hodowania profesorów całemi latami — jeśli uniwersytety wyrastały (za frontem), jak grzyby po deszczu? W ciągu dwu lat — pięć uniwersytetów. Kilkaset katedr trzeba było obsadzić w ciągu dwudziestu miesięcy! To też fabrykowało się profesorów... seryjnie. Docencina galicyjski zostawał profesorem zwyczajnym, starszy asystent docentem, starszy student asystentem.

Asekuracja wzajemna

Oczywiście galicyjskie metody asekuracji doszły na dzisiejszych uniwersytetach do absurdu. Wiemy, jaka to mafja rządzi dziś szkołami wyższemi w Polsce, jak to się trzyma za ręce, jak to intryguje, konspiruje, zabiega, podskakuje, utrąca co zdolniejszych, utrąca nawet rozwój samej nauki w obawie, że jeśli ten stan się zmieni, jeśli przyjdą czasy, w których trzeba się będzie uczyć, zacząć uczyć — siły mogą nie dopisać...

To też przed kilku laty Uniwersytety w Polsce doszły do stanu upokarzającego. Były to kursy dokształcające dla dorosłych, bardzo mizernej klasy. Kronika nie notuje wypadku, żeby profesor prowadził studja naukowe. Profesor wykładał, to znaczy co rok powtarzał skrypta, napisane A. D. 1921. Pozatem egzaminował. Czyli badał studentów, zali dostatecznie okuci są na skryptach z roku 1921. To było wszystko i to się nazywało studjami naukowemi w Polsce.

Na ten stan rzeczy trafili w Polsce pp. bracia Jędrzejewicze i zdołali dokazać tej, zdawałoby się, niewykonalnej sztuki — zdołali, powiadam, dokazać — że ten stan rzeczy mógł być jeszcze uważany za idealny...

Dziś stan faktyczny jest taki, że ministerstwo popiera miernoty, a pomija ludzi wybitnych, którzy mają odwagę zerwać z pseudo - naukowemi kierunkami materjalistycznemi XIX wieku...

Jest w tem metoda

Mógłbym długo mnożyć przykłady. Wystarczą te, aby spostrzec, że wroga akcja toczy się nietylko przeciwko talentom, ale przedewszystkiem tępi się pewien określony kierunek ideowy. Tępi się tych, którzy podważają podstawy liberalnego myślenia XIX wieku, tych zwłaszcza, których badania są niebezpieczne politycznie, dla interesów pewnego typu, choć zbawienne dla Polski.

Związki tajne

Wysoka Izbo! Stwierdzam tu z tej trybuny, że w Polsce działa zakonspirowana i świetnie zorganizowana sieć związków tajnych. Związki te służą interesom obcym, a przeciw najistotniejszym interesom Polski. Jest to zorganizowany spisek. Przy innej okazji będę się domagał ustawy, tępiącej w Polsce wszelkie związki tajne. Dziś poprzestaję na stwierdzeniu, że spisek ten ogarnął przedewszystkiem naukę i organizację uniwersytetów, a ministerstwo oświaty, świadomie, czy może nieświadomie, idzie mu całkowicie na rękę.

Najgłębsze umysły, lecz niewygodne dla mafji — nie znajdują katedr.

Natomiast wszelkie wpływy posiadają profesorowie, podpisujący odezwy Ligi Obrony Praw Człowieka! Ten stan rzeczy musi się skończyć! Mafja musi przestać mieć wpływ na nominacje profesorów i rozdział katedr. Musi być rozerwane sprzysiężenie miernot.

Walczyć z destrukcją

Musi być do korzenia wypalona opieka, jaką się cieszą w polskiej nauce uniwersyteckiej i szkolnej rozkładowe prądy obce. Nie może panować stan rzeczy, w którym sadza się do więzienia komunistów, zawieszających transparenty na drutach tramwajowych, a na katedry komunistów, którzy propagują swą doktrynę zapomocą fałszywego komentowania przyrody, fałszywego oświetlania faktów historycznych, fałszywego wnioskowania na podstawie fałszywych przesłanek, słowem uprawiania fałszu systematycznego.

Trzeba wielkim głosem wołać o usunięcie z ministerstwa oświaty protektorów jawnej akcji przeciw Narodowi. Czy Wysokiej Izbie wiadomo, że większość publicystów t. zw. „fołksfrontu”, młodych pisarzy komunizujących, jest utrzymywana przez ministerstwo oświaty? Czy Wysokiej Izbie wiadomo, że różne panie Wasilewskie, Skuzy i t. p. mają albo pensje w „Płomyku”, albo stypendja ministerstwa, albo subsydja z Polskiej Akademji Literatury?

Szkoły średnie i niższe

Wysoka Izbo! To jeszcze nie wszystko. Mówiłem tu o uniwersytetach. Nie mogę jednak pominąć milczeniem problemu organizacji nauczania w szkołach średnich i powszechnych, specjalnie polityki programowej i tego co się dzieje w zakresie podręczników.

Wiemy, że dokonano w ostatnich latach przebudowy szkoły średniej, pod kątem wyższości systemu licealnego nad dotychczasowym. W organizacji nowego typu mamy 6 klas szkoły powszechnej, 4 klasy gimnazjum, oraz 2 klasy liceum różnych kategoryj: przyrodniczej, humanistycznej, administracyjnej i t. p. Nie wchodzę tu w meritum samej tej reformy nauczania, chcę tylko wskazać na jedno. W roku bieżącym opuszcza już gimnazja rocznik pierwszy, który ukończył 4-tą klasę gimnazjum nowego typu i ma przejść do liceów. Od dłuższego czasu krążyły wieści, że ministerstwo oświaty jest na ten moment zupełnie nieprzygotowane, że licea nie mają jeszcze opracowanych programów ani podręczników. Nie chciano w to wierzyć, miało ono bowiem 4 lata czasu, by prace te wykończyć i uchronić szkolnictwo przed wstrząsem i zanarchizowaniem, jakiem groziłoby takie chaotyczne przetasowanie systemu.

Tymczasem pogłoski okazały się prawdziwe. Dziś ministerstwo przyznaje publicznie, że programu i podręczników dla liceów niema i młodzież z t. zw. „małą maturą”, przechodząc do 1 klasy liceów, zastanie tam program tymczasowy, podobny do 7 kl. gimnazjum dawnego typu. Jak nazwać ten niewiarogodny fakt? Ja sądzę, że słowo: indolencja, będzie tu najdelikatniejszem określeniem.

Podręczniki

Mówiłem o podręcznikach. Otóż i w tym zakresie dzieją się rzeczy, które nie mogą być dłużej tolerowane. Proszę zapytać pierwszego z brzegu nauczyciela, a powie Panom — oczywiście, jeżeli mu nie zamknie ust obawa przed utratą posady — że notorycznym jest system pisania i kwalifikowania podręczników szkolnych przez urzędników ministerstwa oświaty. Ręka rękę myje! Ci sami ludzie, którzy są funkcjonarjuszami M. O. lub zasiadają w t. zw. komisji ocen, piszą jednocześnie podręczniki. Rozumieją Panowie, że zatwierdzanie ich przez władze szkolne odbywa się gładko. Jest to system bardzo pomysłowy, wątpię jednak, czy moralnie czysty.

Nawiasowo dodam, że członkowie ostatniego Zarządu Z. N. P. i redaktorzy „Płomyka” biorą bardzo aktywny udział w opracowywaniu tych podręczników. Obecnie, jak słyszałem, p. Machowski, wespół z red. „Płomyka” p. Kotarbińskim przygotowuje całą serję podręczników dla szkół powszechnych. niewątpliwie z wiedzą odnośnych agend Min. Oświaty. Można sobie wyobrazić, jakim to „płomykowym” duchem tchnąć będą te czytanki dla naszych dzieci. Aby to przewidzieć, nie trzeba zresztą być prorokiem, wystarczy zajrzeć do podręczników pp. Więcka, Kubskiego, Balickiego, Gołąbka, Tynca, Klebanowskiego i in., wystarczy nawet przeczytać oficjalny „Program nauki w publicznych szkołach powszechnych pierwszego stopnia z polskim językiem nauczania”, owoc pracy zbiorowej wielu komisyj i wydziałów M. O. Powie on nam dobitnie jaka to doktryna pedagogiczna panuje w naszem szkolnictwie i w jakim stosunku pozostaje ona do punktów 5 i 8 deklaracji płk. Koca.

Treść i forma

Mam tu oczywiście na myśli nie t. zw. „wychowanie państwowe”, lecz to co zdążono wlać w pustą, abstrakcyjną formę tego systemu. Mam na myśli cały spadek duchowy po pp. Jędrzejewiczach. Znany wolnomyśliciel prof. Ułaszyn, w broszurze swej „Państwo i Kościół w walce o szkołę” zachwyca się „wychowaniem państwowem” z racji jego neutralności, bezpłciowości narodowościowej, wyznaniowej, ideowej i t. p. Jest to forma, w którą można wlać każdą treść — powiada — bez szkody dla samego systemu. W samej rzeczy, państwo może być zarówno bolszewickie jak faszystowskie, katolickie jak bezwyznaniowe; więcej jeszcze: w państwie tak pojętem, mogą być czynnikiem kierowniczym zarówno Polacy jak i Żydzi. Ale w tem właśnie tkwi sedno problemu, że my pragniemy, aby to było państwo *polskie*, wypełnione organiczną treścią naszej odwiecznej kultury narodowej, wyrosłej z pierwiastków klasycznych, chrześcijańskich i polskich, w najszerszym znaczeniu tego słowa. Tymczasem zachwyt prof. Ułaszyna pochodzi stąd, że — w jego mniemaniu — panujący dziś w Polsce system wychowawczy daje się łatwo użyć za narzędzie myśli laickiej, materjalistycznej, zezującej ku komunizmowi.

Trzeba dobrze odróżnić te dwa elementy: formę, jaką jest „wychowanie państwowe” i treść, jaką zostało ono wypełnione za rządów pp. Jędrzejewiczów. Treść, która dominuje tam do dzisiaj. Nie mam nic przeciwko formie, lecz treść, o której mówię, jest bardzo niepokojąca i trzeba ją czemprędzej zastąpić czem innem.

Chaos i demoralizacja

Mówiąc o „wychowaniu państwowem” chcę wspomnieć jeszcze o płytkim pojmowaniu tej koncepcji przez autorów naszych podręczników szkolnych, gdzie sprowadza się ona do niezgrabnego kultu pp. starostów i wojewodów i całej wogóle administracji państwowej, pomijając zupełnie zagadnienie twórczej i samorzutnej postawy obywatela wobec państwa. Chcę wspomnieć o demoralizacji młodzieży, na którą wskazują nawet — w tonie alarmowym — nasze najwyższe organy bezpieczeństwa, a która wynika z braku kierunku moralnego i idei przewodniej w tym systemie. Chcę wspomnieć o chaosie prądów i kierunków pedagogicznych, którymi szpikuje się w ostatnich latach naszą szkołę, o tem obłędnem poszukiwaniu obcych wzorów, kulminującem w wyprawie po „złote runo” nowych metod pedagogicznych aż do Palestyny, podczas gdy nasze własne, polskie idee pedagogiczne, wyłożone w dziełach największych naszych myślicieli leżą odłogiem, lekceważone i rozmyślnie przemilczane.

Lecz dobre wyniki pracy wychowawczo - oświatowej zależą nietylko od systemu pedagogicznego, ale i od nauczycieli, od ich morale, warunków pracy i walorów osobistych. Zapytuję tedy, czy może pracować pozytywnie i twórczo nauczyciel, żyjący w psychozie strachu przed represjami od góry, przed utratą stanowiska lub przeniesieniem, i to nie za niedociągnięcia w swej działalności zawodowej, lecz za swe poglądy, nie podobające się wolnomyślicielsko-radykalnej klice z Zarządu Z. N. P.? Czy może pracować pełnią swych sił twórczych nauczyciel przeciążony biurokracją, obarczony narzuconemi mu nadmiernemi obowiązkami społecznemi, polegającemi na wypełnianiu niezliczonych papierków urzędowych, ankiet i wykresów, oraz na ściąganiu z młodzieży na rozliczne cele datków i opłat, które przeważnie on sam pokrywa z własnej skromnej pensyjki, by nie narazić się przełożonym?

Organizacja kultury

Wysoka Izbo! Nie chcę rozwodzić się dłużej nad polityką pedagogiczną M. O., zbyt wiele bowiem gorzkich słów ciśnie mi się na usta. Wolę przejść jeszcze do uwag o innym dziale pracy Min., a mianowicie o jego polityce ogólno - kulturalnej. Jest to sprawa równie bolesna, i wołająca o gruntowne przemiany. Stosunek naszego M. O. do wielkich dzieł kultury rodzimej jest conajmniej całkowicie obojętny, jeśli nie zdecydowanie negatywny. Czytałem w „Polsce Zbrojnej” świetny artykuł podpisany nazwiskiem głośnego pisarza, p. t. „Ignis ardens”. Jest tam mowa o rozpanoszonym u nas kompleksie niższości w stosunku do wielkich wartości duchowych naszej kultury. „Trzeba nam dziś kompleksu wyższości — oto te złote słowa — trzeba wiary we własne siły, w naszą wielką dziejową rolę kulturalną i cywilizacyjną”. „Dziedzicząc wielką przeszłość kulturalną Polski — w nią bogaci — zachowujemy się nieraz tak, jak byśmy wczoraj dopiero historję naszą zaczęli, w której wszystko musi być „od początku”. „Ideały. nakreślone przez wspaniały szereg przedstawicieli Genjuszu Narodowego, były i pozostaną niewzruszoną wytyczną naszych dziejów”.

Gdybyż kierownicy naszej polityki kulturalnej z M. O. zechcieli wziąć sobie do serca te słowa. Gdybyż zrozumieli, że kultura polska nie spadła z nieba, że ma wspaniałe, chlubne karty, że wytworzyła dzieła, do których dziedzictwa trzeba nam dziś w wolnej Polsce nawiązać, jako do drogowskazu dalszego postępu.

Bojkot ducha Polski

Niestety obserwujemy tam coś zupełnie innego. Widzimy przemilczanie i usuwanie ze szkół dzieł wielkich przywódców duchowych narodu polskiego, pisarzy, myślicieli i poetów. Widzimy karygodną obojętność w stosunku do upowszechniania całości ich dorobku szerokim masom społeczeństwa. Na uniwersytetach naszych niema dotąd ani jednej katedry filozofji polskiej, brak nam wydawnictw zbiorowych dzieł naszych myślicieli, w podręcznikach spycha się ich na szary koniec, — podczas gdy w takiej np. Francji, którą trudno pomówić o narodowy szowinizm, trzeciorzędni nawet myśliciele franc. uwzględniani są w kilkakroć szerszej mierze, niż filozofowie innych narodów. To jest jaskrawy przykład owego „kompleksu niższości”, o jakim pisze „Polska Zbrojna”.

Tym samym duchem tchnie cały nasz system organizacji kultury. Czy osławione TKKT zrobiło coś dla podtrzymania i propagandy wielkich dzieł naszej sztuki dramatycznej, czy stworzyło warunki pomyślne dla współczesnych twórców scenicznych w Polsce, ułatwiające im nawiązanie do tych tradycyj? Czy teatry państwowe opiekują się naszym teatrem monumentalnym? Czy Departament Nauki i Sztuki w M. O. ma do zanotowania jakieś sukcesy w dziedzinie unarodowienia naszej twórczości literacko - artystycznej i intelektualnej, wyzwolenia jej z pod rozkładowych wpływów czynników duchowo nam obcych i związania jej z polską racją stanu? Nie jest chyba takim sukcesem „Pion” i in. wydawnictwa subwencjonowane, nie jest nim osławiona „literatura państwowo twórcza”, eksperyment chybiony, bo od początku pozbawiony owego „ognia płonącego” idei, zbiurokratyzowany i wyjałowiony z dynamiki twórczej. A propaganda naszych wartości kulturalnych zagranicą jak wygląda? Obawiam się, że wiernie ją odzwierciadlają feljetony niektórych naszych humorystów...

Reform! reform!

Pozwalam sobie twierdzić, że i ten system, system biurokratycznej i formalistycznej organizacji kultury, nie oparty o imponderabilia i kierowany przez ludzi, tkwiących wciąż w atmosferze z przez lat kilku gdy ton naszemu życiu literackiemu nadawali przedsiębiorcy i kunsthändlerzy z „Wiadomości Literackich”, — nie spełnia swego zadania, a nawet pozostaje w jaskrawej sprzeczności z postulatami deklaracji płk. Koca.

Wysoka Izbo!

Ministerstwo Oświaty wymaga niezwłocznych reform! Ministerstwo Oświaty musi być przebudowane od góry do dołu. Oświata polska raz wreszcie musi być wyzwolona z pod okupacji, która trwa już 150 lat! Ministerstwo Oświaty musi zacząć być ministerstwem oświaty polskiej, w pełnem znaczeniu!

Oświadczam, że w stanie rzeczy, jaki panuje obecnie, zmuszony jestem odmówić ministerstwu oświaty wszelkiego zaufania! Jako Polak i przedstawiciel kombatantów będę głosował przeciwko uchwaleniu budżetu dla ministerstwa oświaty.

Mędrzec z Wolsztyna

W „Kurjerze Poznańskim" z niedzieli 14 marca b. r. drukuje Adolf Nowaczyński artykuł p. t. „Mędrzec z Wolsztyna", z którego cytujemy najbardziej charakterystyczne ustępy:

„Dość niespodziewanie wybuchł w prasie stołecznej zawzięty bój polemiczny o jednego takiego, co się urodził w Wolsztynie.

Byle kto to nie jest, bo mu niedawno odsłonili piękny pomnik w Paryżu, na cmentarzu w Neuilly, przyczem asystował ambasador polski, dygnitarze municypalni, a wygłaszano wychwalne mowy. W Sorbonie odbyła się uroczysta akademja ku uczczeniu tego... człowieka z Wolsztyna. Byle kto to oczywiście nie jest, skoro w Warszawie wychodzi stale perjodyk poświęcony apologji i popularyzacji tego Wolsztynianina. W tejże samej Warszawie również odbyła się uroczysta akademja ku uczczeniu pamięci Wielkiego Polaka (który urodził się w... Wolsztynie) z mowami, prelekcjami i odczytaniem poematów ku czci... Wolsztynianina pisanych".

Autor omawia prace współczesnych badaczy nad „odgrzebaniem" doktryny Wrońskiego i wymienia tytuły głównych dzieł filozofa:

„Jedno z nich napisane w r. 1818 nosi tytuł „Le Spinx ou la Nomethètique.. Séhelienne" [1]).

I otóż to właśnie dzieło, w którego tytule tkwi rażące słowo séhelienne, a jeżeli już nie samo dzieło (nieznane, bo niedostępne), ale słowo sehel stało się powodem a raczej pretekstem polemicznej burzy, która rozpętała się w... lutym roku Pańskiego 1937... w kilku pismach prasy warszawskiej.

Zaiste jest to niezbity dowód nie jeno „nieśmiertelności", ale rosnącego autorytetu człowieka z Wolsztyna, jeżeli w sto kilkadziesiąt lat jeden niebacznie rzucony termin sehel zdołał wywołać prasową wojenkę. W polemice biorą udział pisma: „Zet" i „Merkuryusz Polski", a po drugiej stronie fołksfront, judokomunizm, „Robotnik", „Głos Powszechny" „Gazeta Wieczorna". Zamieszanie wywołał niestety szacowny perjodyk „Pro Christo", którego redaktor ks. Pawski przez przeoczenie zamieścił artykuł tajemniczego pseudonyma „Stańskiego"... Od kiedy pismo bojowe Hoene-Wrońszczaków „Zet" rozpoczęło mocną kampanję z bolszewizującymi menerami Związku Nauczycieli, postanowiono je ubić właśnie w opinji katolickiej. Użyto podstępu przez przemycenie w katolickim „Pro Christo" artykułu imputującego Hoene - Wrońskiemu... semityzm duchowy, podległość myślową masonom - okultystom, ba nawet związki całej doktryny Mesjanizmu Wrońskiego z Kabałą żydowską. „Można i tak", ale nie trzeba. Można kazuistycznie i filozoficznie z olbrzymiego zwału dzieł Wrońskiego wydedukować i cytatami oderwanymi i sprytnie pozestawianymi sprezentować Hoene-Wrońskiego, jako myśliciela mesjanistycznego „tkwiącego" w judaizmie, rozmiłowanego w talmudystach - okultystach. Swego czasu przefasonował tak Wrońskiego dla masonerji filozof „francuski" Warszawianin Meyersohn. Można, ale nie trzeba. Szczególnie zaś nie trzeba w momencie, kiedy Gmina Wrońskistów podnosi go w górę jako proroka, jako zakonodawcę, jako drogowskaz filozoficzny obozu katolickiego, kiedy wyświetla Wrońskiego mozół godzenia nauki i wiedzy z wiarą, jego rozumowe stwierdzenie Boskości Chrystusa, jego związki z ideologją Świętego Tomasza z Akwinu, jego druzgotanie doktryny materjalistycznej z Marksizmem włącznie. Dla utrącenia J. Brauna i jego „Zetu" demaskującego fortunnie wielkie intrygi i wielkie mafje judokomuny, fołksfrontu i bolszewizujących nauczycieli, dla utrącenia i zdyskredytowania „Gminy Wrońskistów" fałszować wizerunek duchowy par excellence aryjskiego myśliciela i filozofa, rzecz to niegodna i nieładna. Z jakąż radością i djaboliczną „Schadenfreude" i w jak galopującym tempie przedrukowały czerwone organy „frente popular" w Warszawie fatalny lapsus w „Pro Christo", aby ubić „ofensywę ultrareakcyjną i naturalnie klerykalną" („Robotnik") znienawidzonego biednego „Zetu".

Tajemniczy inicjator kampanji dywersyjnej z kilkunastu tomów wybrał widocznie jeden tom literalnie omal nikomu nie znany: „Le Spinx ou la Nomothètigue Séhelienne". Sechel to jest hebrajskie słowo, znaczy rozum, a u Hoene - Wrońskiego jeszcze więcej, bo wedle owoczesnej terminologji filozoficznej um i to um absolutny. Wystarczyły superlatywy o tem sehelu w „Le Spinx" i wogóle prosemityzm [2]) myślowy H. Wrońskiego, pospólny w one czasy całej Emigracji polskiej (Sorbonie i Paryżowi), aby po latach, po stu latach z rasowo aryjskiego, rasowo polskiego filozofa romantycznej epoki... zrobić kabalistę, okkultystę, mózg pobratymczy... Eliphasowi Lewi!...

Polemiki o Hoene - Wrońskiego nadal trwają. Toczą się na ubocznym odcinku, z dala od wielkich kwestyj. Nazwisko twórcy „Metapolityki" przewija się na łamach zadrukowanych raz po raz. Rzecz nie jest atoli tak błaha jak się pozornie wydaje. Stwierdza raz bowiem jeszcze jaką to czujność trzeba mieć na wszystkich punktach frontu i jak kontrolować bacznie należy, co, kto, gdzie i o kim c u i b o n o pisze. Tak odległe, tak oderwane sprawy, metafizyka, mistyka, mesjanizm, tak daleki człowiek, tak szczytowy myśliciel, tak trudny, hermetyczny, ciemny, ciężki, zawiły, nieodcyfrowalny pisarz i tylko małej, szczupłej elicie znany. A jednak i jego starano się wciągnąć w wielką robotę destrukcji i dezorganizacji! A jednak i to nazwisko znalazło się na szpaltach brudnych szmat czerwonego Fołksfrontu.

Wolsztynianie powinni być dumni! A w każdym razie Wielkopolska powinna sobie przypomnieć tę przewspaniałą posągową głowę jednej z najoryginalniejszych indywidualności, jakie rasa polska dała Europie. Po odkopaniu Norwida czas przyszedł na Hoene - Wrońskiego".

---

[1]) Rękopis „Kodeksu prawodawstwa społecznego", gdzie Wroński użył też słowa s e h e l, pochodzi również z r. 1818 (przyp. Red.).

[2]) Niema u Wrońskiego antysemityzmu ale niema i „prosemityzmu", co dla ścisłości zaznaczamy (przyp. Red.).

Książki i czasopisma

Stanisława Brzozowskiego Dzieła wszystkie pod red. Artura Górskiego i Stefana Kołaczkowskiego. Tom VIII. *Legenda Młodej Polski.* Studja o strukturze duszy kulturalnej. Opracował K. Irzykowski. Warszawa 1937. Wydawnictwo Instytutu Literackiego. Str. XII i 494.

Edouard Krakowski: Deux poètes de l'héroisme Charles Péguy et Stanislaw Wyspiański, Préface de S. E. le Cardinal Baudrillart de l'Académie Française. Paris 1937. Éd. Victor Attinger. P. 63.

Gertruda von le Fort: Papież z Ghetta. Legenda rodu Pier Leonich. Powieść. Przekł. autoryzowany Jana Sztaudyngera. Poznań 1937. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 254.

Edwin Herbert: Narodziny płomienia. Poezje. Poznań 1937. Bibljoteka „Promu", T. X. Str. 43.

Muzyka Polska (r. IV, z. 2) W. Kochański: Apolinary Kątski; T. Szeligowski: Czyżby elitaryzm muzyki współczesnej?; K. Régamey: Snobizm a postęp w muzyce współczesnej; Ankieta: Odpowiedź St. Szpinalskiego; Ł. Kamieński: Odnowić muzykę Bożą!; O. Straszyński: Muzyka mechaniczna; Sprawozdania.

Polonia — Italia (r. II, nr. 2) Roberto Suster: Casas de Espana; Francesco Ercole: Faszystowskie Państwo Korporacyjne; Leone Felde: La politica maritima polacca e Gdynia; Benedykt Krzywiec: La Polonia sul Mare; Enrico Damiani: Giacomo Leopardi; Wanda de Andreis Wyhowska: La „Divina Commedia" nelle traduzioni polacche; Alfredo Panzini: Ojciec i syn (Z beletrystyki włoskiej); Carlo Verdiani: O malarstwie toskańskim epoki odrodzenia (c. d.); Ardengo Soffici: Bolszewizm a sztuka.

Chowanna (r. VIII, z. 2) dr. L. Goryński — T. Łaciak — dr. E. Trzaska: O karności w szkołach śląskich. Wyniki ankiet Instytutu Pedagogicznego w Katowicach (c. d.); W. Bobkowska: Działalność kobiet w narodowo - socjalistycznych Niemczech; prof. W. Gądzikiewicz — Wł. Wójcikówna: Wpływ czynników atmosferycznych na zmęczenie umysłowe u dzieci szkolnych.

Kamena (r. IV, z. 4). Wanda Melcer: Którędy wędruje Joanna; J. Czechowicz: Przedświt. J. Łobodowski: Wycieczka do Krasnegostawu; Olga Daukszta: Wigilja na Syberji; Włodz. Słobodnik: Drzewa, które w ogniu; B. Ożóg: Szyszka z pomarańczą; K. A. Jaworki: Sobie na urodziny; L. Lipschütz: O niepokoju i śmierci; Aleks. Puszkin: W zaraniu życia (przeł. J. Tuwim); Al. Apuchtin: Muchy (przeł. K. A. Jaworski); Maks. Wołoszyn: Widzenie Ezechiela (przeł. K. A. Jaworski).

Logeion (r. II, nr. 3) Jerzy Braun: O polski teatr ...w Polsce; dr. Kaz. Krobicki: Teatr jako misterium; dr. Miecz. Kotlarczyk: Sprawa „Hamleta" w Polsce; dr. Stan. Peters: Problematyka współczesności w sztukach teatralnych; Jerzy Tepa: O publiczności premjerowej i innej; dr. Janusz Weiss: Teatr jako przedsiębiorstwo teatralne (rozwój historyczny); mgr. S. Langholz: Stanisław hr. Skarbek i jego dzieło; August Strindberg: Dramaturgji część I. Sztuka aktorska (przeł. J. Andrzejewski); dr. Wład. Dobrowolski: Teatr amerykański w chwili obecnej; Miecz. Babiński: Teatr w Japonji; Wład. Bracki: Teatr Ziemi Pomorskiej; Kronika.

Okolica Poetów (r. III, nr. 1) Stan. Czernik: Trochę o perspektywach. Tad. Jul. Demczyk: Jak powstaje wiersz; Hieronim Michalski: Literaturyt; J. Czechowicz: Elegia czwarta; Tad. Bocheński: Fauna i Flora; J. A. Frasik: Elegie; A. Dziekoński: Kruk; Cz. Janczarski: Koncert; J. B. Ożóg: Wiersze; Stan. Bąkowski: Syn marnotrawny; Wit. Powel: Sonet; Aleks. Janta Połczyński: Więzienie; Ed. Herbert: Róża i nieznajomy; W. Mrozowski: Sine są głowy; Zbig. Bieńkowski: Wschód; J. K. Weintraub: Lato elegijne; Jan Olechno: Po śmierci przyjaciela; M. St. Radecki: Ziemia niczyja; Wład. Jaworski: O rozstaniu; A. M. Swiniarski: Fraszki; J. Sztaudynger: Fraszki; T. Bocheński: Z poezji łacińskiej; Recenzje.

Awangarda Państwa Narodowego (r. XIV, nr. 7 — 12) Zygm. Wojciechowski: Z antytezy w syntezę; Jerzy Drobnik: Co to jest konsolidacja; Kl. Hrabyk: Ideologja „Przeglądu Wszechpolskiego" (1895 — 1905) rozdz. V. Jednostka a naród; Kronika polityczna.

Ruch Kulturalny (r. II nr. 1). O przyszłe oblicze sztuki polskiej; Wł. J. Grabski: Poczucie historyczne Polaków; inż. arch. Stan. Murczyński: Styl czy moda współczesnej architektury polskiej?. J. B. Ożóg: Wiersze; Sądy literackie; Polska organizacja akcji kulturalnej rozpoczyna walkę o front biało - czerwony; Koło teoretyków P. K. M. w Warszawie.

PRZEGLĄD V-go ROCZNIKA „ZETU"

Redakcja: Warszawa, ul. Wierzbowa 8, IV p., — Administracja: Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od g. 18 — 19. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DRUKPRASA", Warszawa, N. Świat 54, tel. 615-56 i 242-40.